

STANISŁAW LEM
SKNOCONY
KRYMINAŁ

DZIEŁA
TOM XVI

WYSTĘPUJĄ:

Pat Robert Cavish: główny bohater, bliski kolega po fachu
Philipa Marlowe'a

Cyryl (aka Crispin) K. Maysters: nieboszczyk promieniujący bogactwem

Milford Chris Washer: przyjaciel ofiary, któremu pękło serce

doktor Edgar Johnston: wszystkie drogi prowadzą do jego kliniki

cementarz Paddeltrops: tutaj prowadzą wszystkie drogi
z kliniki doktora Johnstona

Amber Pamber 19: feralny adres (lecznica doktora Johnstona,
potem przeniesiona przez autora na **bulwar Placid**)

Bank Centralny (aka bank Central Ypsilon): trudno z niego
cokolwiek wyciągnąć

Fundacja Hoppszosshera: szemrana, jak sama nazwa wskazuje

Brauner: redaktor dyżurny

Nancy Prancy: barmanka, która miała zbyt długi język

pani Cormick: jaskrawy dowód, że nie można wychylić
dwa razy tego samego kieliszka

Zuzanna Washer: nie taka czysta, jak ją malują

Pimpardula: pierwszy samolot odchodzi do niej o 7.30

szosa 118., 93. kamień milowy: uważaj na zakrętach

Mirnyfirdy Ave: miejsce w Nowym Jorku, gdzie można coś przekąsić

Ms. Pidglars & Tommy Pidglars: niedaleko pada jabłko od jabłoni

Mayfair 617: skrzynka kontaktowa

William Faulkner aka F.C. Hartley: zapewne Morderzec,
nie wiadomo kogo

Mumber Drummer: siedziba wydziału śledczego
New York Police Department

porucznik Drummond: były partner Cavisha działający
w sektorze państwowym

Hops Clops: tutaj główny bohater parkuje samochód zastępczy

Carel Addams: tragiczna w skutkach pomyłka

licznik Geigera, stetoskop: standardowe wyposażenie
każdego prywatnego detektywa

I

Parking przed cmentarzem był prawie pusty. Po deszczowym dniu przyszedł pogodny zachód słońca. Ostatnie kałuże schły szybko na betonie. Podjechałem prawie do samej bramy, rozpryskując wodę na obie strony, i stanąłem obok starego chryslera z zabłoconymi znakami. Miał za sobą daleką drogę, a ten, kto go prowadził, był bardziej leniwy aniżeli ostrożny, bo nawet szyby pokrywała zaschła skorupa błota – tylko na przedniej widniało nie większe od dwu złożonych dłoni przezroczyste miejsce. Po drugiej stronie wjazdu, w cieniu wysokich sykomorów wznoszących się poza murem cmentarnym, stał mały brudnoczerwony wóz europejskiej marki z siedzeniami zawalonymi kłębowiskiem żałobnych, czarnych szarf.

Gdy silnik ucichł, włożyłem między wargi papierosa i nie zapalając go, popatrzyłem na zegar. Dochodziła siódma. Coś dotknęło mojej szyi, nie był to dotyk przyjemny. Podniosłem odruchowo rękę, ale to nie był owad, tylko promień słońca parzący nawet po przejściu przez szybę. Ostatki chmur rozłaziły się na niebie jak zmokła wata.

Jutro będzie upał. Znowu – pomyślałem. Język miałem jak z drewna. Wypłułem niezapalonego papierosa przez okno z opuszczoną szybą, wysiadłem i poszedłem ku bocznej furtce. Główna brama była już zamknięta. Aleja pod szumiącym sklepieniem liści szła prosto

jak strzelił. Skręciłem na prawo, tam, gdzie przez zieleń przezielał białawy zarys budynku. Było to krematorium o szklanym stropie. Zajrzałem do środka, nie wchodząc na stopnie. Na dole były zamaskowane mozaikami piece, na górze – chóry. Bliżej, w wytwornym hallu, stały kubły z palmami. Komina ani śladu, dym tłoczą pewno podziemnymi przewodami, aby nie zadrażniać uczuć klientów, poza tym to, co przedstawiano jako wprowadzenie drogich zwłok do komory całopalnej, było tylko zwykłym blefem; w rzeczywistości ciało zostawało opuszczone do podziemi i tam dopiero naprawdę spalone. Nie byłem jeszcze nigdy na tym cmentarzu, ale widziałem podobne; w moim zawodzie trzeba znać wiele pozornie nieistotnych rzeczy.

Rozejrzałem się po klombach otaczających biały budynek. Ani śladu człowieka. Obszedłem krematorium z boku. Otwierała się tu ostatnia droga, na kwatery, ujęta szpalerami strzelistych topól, wycelowana w rozplamione niebo zachodu, bo umyślnie dźwigała się łagodną pochyłością w górę; stojąc tu, gdzie stałem, można było rzeczywiście przy pewnej dozie dobrej woli uwierzyć, że następnym – po całopaleniu – suto opłaconym etapem jest wniebowzięcie. Dopiero znalazłszy się u szczytu sztucznego pagórka, ujrzałem jak z lotu ptaka szeroko rozrzucone kwatery.

List, który sprawił, że przyjechałem na cmentarz, zaszeleścił mi lekko w kieszeni, gdy jej bezwiednie dotknąłem. Kwatera 1487. Niepodobna było odgadnąć, która to, a nie chciałem wracać do odzwierciedlenia ani pytać. Powoli zacząłem iść stokiem między żywopłotami okalającymi grobowce pierwszej klasy i ekstraklasy, z wygodnymi ławkami ustawionymi tyłem do ścieżki, miejsca luksusowego, żalobnego dumania.

Żeby odczytać numer kwatery, skręciłem przy pierwszym lepszym przejściu. Grobowiec był imponujący, cały z białego marmuru, przypominał skamieniałą łódź; na pionowej płycie z nazwiskami miał coś w rodzaju wizjera, do którego przybliżyłem oczy.

Przez okulary te widać było czcigodnych starców, jak siedzą do pasa otuleni w niepokalaną biel, zanurzeni w kwiatach, a święte wizerunki łagodnie świeciły nad ich ufryzowanymi głowami. Cała scena wtopiona była jakby w zastygły kryształ. Musiała kosztować majątek. Obszedłem grobowiec i znalazłem numer; tak, kluczając od jednego do drugiego, dotarłem wreszcie, dziesięć minut po siódmej, do miejsca umówionego.

Ciemną jak z zielonego papieru wystrzyżoną ścianą otaczał je bluszcz szeleszczący nienaturalnie głośno, jakby podkreślając zainwestowane sumy. Grobowiec był z granitu, obelisk prawie, z emaliową, owalną tarczą; otaczała go skarpa pokryta darnią, która nie przyjęła się jeszcze i widać było miejsca spoin, w których stykały się ze sobą trawiaste cegielki. Zresztą o tym, jak świeży jest grób, mówiły daty:

Cyryl K. Maysters Ph. D.

1899-1960

Ławka – czarna, prosta, z odchylonym oparciem – pokryta była kropkami deszczówki. Wyjrzałem na główną aleję przez prześwit w ścianie bluszczu. Nikogo. Nie chciało mi się moczyć spodni, a i sterzyć też nie, więc usiadłem na najniższym stopniu grobowca; granit wypolerowany był tak gładko, że nie mogąc zatrzymać się na nim, woda ściekla zeń w trawę. Pstryknięciem w spód paczki wystrzeliłem sobie w usta papierosa, ale i tego nie zapaliłem – nie tyle przez wzgląd na grobowiec, który piętrzył mi się za plecami, ile przez to, że w każdej chwili spodziewałem się przybycia tego, który mnie tu ściągnął.

List nie był nawet listem, tylko sztywnym kartonikiem pocztówkowego formatu zamkniętym w grubej, ciemnej kopercie. Nosił jeszcze ślad wygięcia po wkręceniu do wałka maszyny, mogłem z pamięci zacytować jego treść.

Było już dwadzieścia minut od umówionej godziny; prawda, że i ja się nieco spóźniłem, lecz ewentualny klient nie wyglądał mi na człowieka, który przychodzi pierwszy na schadzkę z prywatnym detektywem. Nie było wykluczone, że przypatruje mi się właśnie w tej chwili przez szczelinki liściastych ścian, aby przekonać się, czy zadowolili go moja powierzchowność. Myśl ta rozgniewałaby mnie być może kilka lat wcześniej, ale z biegiem czasu człowiek przestaje zwracać uwagę na to, jak szpetnie lubią sobie poczynać inni.

Wyjął z ust papierosa, który – choć niezapalony – mógł jednak subtelniejszą naturę zrazić, nie chciało mi się przecież jednak, siedziałem więc tak, trochę niewygodnie, z wysoko uniesionymi kolanami, postanowiwszy sobie, że równo za dziesięć minut odejdę. Benzyny miałem dość, żeby dojechać do Hampla, i nie wątpiłem, że pogderawszy, da mi na kredyt jeszcze czterdzieści litrów; wobec rozmiarów zadłużenia mego u Hampla tych czterdzieści litrów nie mogło mieć już żadnego znaczenia.

Aby skrócić sobie oczekiwanie, siadłem na granitowym schodku bokiem i próbowałem wyczytać z grobowca jak najwięcej o tym, kto pod nim spoczywał.

Już to, że znajdował się na tym cmentarzu, świadczyło o grubych pieniądzach; wybór rzeźbiarza nie był chyba najgorszy, granitowy obelisk był wręcz dziełem sztuki wobec kolosalnych popielniczek i solniczek, które wznosiły się na innych kwaterach. Nazwisko – Maysters – było mi obce. Ph. D., a więc człowiek z wyższym wykształceniem – doktor filozofii. Przeżył 61 lat. Żadnych innych nazwisk, żadnych apostrof od ani do rodziny, więc zapewne raczej samotnik. Bogaty, wykształcony samotnik – a co wyobrażała postać z postrzępionym balonem w rękach, która wieńczyła sarkofag?

Coś z mitologii zapewne – nie była moim mocnym punktem. Cerera? Możliwe, jeżeli balon podobny także i do beczki wyobrażał miał po prostu snop zboża. Tak, to chyba na pewno było zboże. Ale co Cerera ma do roboty na grobie?

Wstałem i obszedłem grobowiec w nikłej nadziei, że odnajdę jakiś strzęp kondolencyjnej taśmy czy napisu z wieńca, ale ten cmentarz utrzymywano we wzorowym porządku; nie znalazłem niczego, nawet jednego zeszcłego listka.

Oczywista, wszystkiemu sam jestem winien – pomyślałem. – Wybitny tajny detektyw na moim miejscu miałby już całą sprawę odczytaną, wydedukowaną i rozwiązaną z tego kamiennego kloca, jakoś powiązaną z kopertą z wezwaniem zaadresowanym do mnie – podczas kiedy ja nie miałem nawet pojęcia, o co może chodzić.

Zerknąłem na zegarek, pozostały mi trzy minuty czekania. Cyryl K. Maysters. A jak podpisał się ten, kto wysłał list? M.C. Washer. Hm. Może policzyć litery, dodać, odjąć albo pomnożyć?

Papier rozmiękł mi w wargach od śliny; skrzyłem w palcach bibułkę wraz z wysypującymi się włóknami tytoniu i jąłem ją dyskretnie opuszczoną ręką wpychać w szparę między dwoma blokami tworzącymi granitową flankę grobowca.

Pół do ósmej. Wstałem, otrzepałem spodnie i ruszyłem, ociągając się, w stronę wyjściowej bramy. Byłem zły, choć starałem się nie przyznawać do tego nawet przed samym sobą.

Jakiś cierpiący na niezdecydowanie kretyn, który myśli, że na takich jak ja wystarczy gwizdnąć, aby przylecieli w podskokach, węsząc parę dolarów.

Słońce dotykało już horyzontu, kiedy znalazłem się na powrót na parkingu. Ciemnoczerwony samochód już odjechał, pozostawiając po sobie czarne cećki oleju na betonie. Oprócz mojego trupa tylko wielki chrysler stał w cieniu coraz majestatyczniej szumiących sykomorów.

Podszedłem do niego. Spróbowałem zajrzeć do środka, ale boczne szyby były zupełnie nieprzejryste od błota. Aby zerknąć przez przednią, musiałbym się do niej zbliżyć, ocierając się o maskę, a nie chciałem zabrudzić ubrania, zacząłem więc odkrobywać błoto paznokciem z bocznej. Była to zaschła brunatnawa glina. – Musiał jechać przez wściekle jakieś roztopy. Preria czy co? – pomyślałem, zbliżając oko do szkła.

Najpierw zobaczyłem rękę opartą na kierownicy, nie normalnie, lecz wnętrzem dłoni w górę, i zanim jeszcze dostrzegłem resztę postaci, zanim zdążyłem cokolwiek pomyśleć, przeniknęła mnie chłodna, dziwnie spokojna pewność, że to jest człowiek, na którego czekałem.

Jednym szarpnięciem otworzyłem drzwiczki z jego strony i poczułem, jak napały na mnie pchnięte jego ciężarem. Zwalił się z siedzenia prosto na mnie i zajął w na pół otwarte szklane oczy jego starczej, skurczonej twarzy. Ręce miał już sztywne, z lewej, tej, która oparta była przedtem na kierownicy, wyciekło na beton kilka kropel tłustego, oleistego płynu. W palcach drugiej zaciskał coś małego, udało mi się to delikatnie wyłuskać – wąska, szklana rurka, bez korka, bez jakiegokolwiek napisu czy etykiетки. Powąchałem ją; na dnie zebrała się kropla takiego samego oleistego płynu.

Rozejrzałem się. Wyglądało na to, że cała okolica, aż po wjazd na autostradę, jest bezлюдna. Podniosłem go i posadziłem na powrót w aucie za kierownicą. Dałem sobie pół minuty na solidny namysł.

Mógł liczyć sześćdziesiąt parę lat, może i więcej; nie wiem, jaką miał cerę za życia, ale teraz był biały, z żółtawokościanym odcieniem; duży, czarny kapelusz, jakich nie nosi się od lat, położył obok siebie na wolnym siedzeniu wraz z rękawiczkami. Jeżeli – a na to wyglądało – płyn w rurce był nitrogliceryną, której nie zdążył zażyć, czując nadchodzący atak sercowy, straciłem klienta w sposób wykluczający czyjąkolwiek ingerencję. Musiał prowadzić długo, może cały dzień, świadczył o tym wygląd auta; był stary, schorowany, zmęczony się nad wytrzymałość i tuż u celu podróży skonał, nie zdążywszy ani zażyć lekarstwa, ani nawet szyby opuścić, aby zwołać o pomoc.

Powinienem był zatelefonować na policję i na tym historia by się skończyła. Pół minuty, jakie przeznaczyłem na decyzję, dawno upłynęło, a ja wciąż jeszcze stałem u wpółotwartych drzwiczek, patrząc na odchyloną w tył, zapatrzoną jakby w sufit auta twarz umarłego, i nie ruszałem się z miejsca. Nie postanowiłem niczego, nie zawahałem się nawet. Miał na sobie cienki szary płaszcz z doskonałego sukna. Rozpiąłem go, sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni surduta i drgnąłem przy tym, bo tam, w pobliżu jego ciała, zachowało się jeszcze nieco żywego ciepła. Portfel był z mięciutkiej skóry, płaski, otworzyłem go, raz jeszcze rzuciwszy wzrokiem na pustą przestrzeń parkingu, którą pokryły wydłużające się błękitnawe cienie drzew.

W pierwszej przegródce tkwiło prawo jazdy z jego fotografią, w okularach, opiewające na nazwisko Milford Chris Washer, urodzony w Illinois, w roku 1892, w drugiej – książeczka czekowa, jakieś stare kwity, złożone we czworo papierki. Wepchnąłem to wszystko na powrót – nie tego szukałem. W osobnej przegródce leżały ściągnięte gumką studolarowe banknoty, mała fortuna, było ich chyba więcej niż dziesięć, a pod nimi – wytarta i pobrudzona od długotrwałego noszenia koperta z listem zaadresowanym: M. Washer, Nowy Jork, N.Y., Central Park 1711.

Zerknąłem tylko na podpis tego listu – „Twój Cyryl” – i wetknąłem go do kieszeni. Portfel wraz ze wszystkim, co w nim było, wkładałem już na powrót do jego kieszeni, gdy przyszło mi do głowy, że nawet jeśli list wyjaśni cokolwiek, nie będę w stanie nic zrobić, bo nie mam za co. Gdybym się zastanawiał dłużej, nie odważyłbym się okraść trupa, ale zrobiłem to bardzo szybko i wprawnie: wyciągnąłem spod gumki cztery banknoty, wetknąłem je do tej samej kieszeni, w której miałem już list – za to oddałem mu portfel, wpychając go na to samo miejsce, zapiąłem jego płaszcz, zatrzasnąłem drzwiczki chryslera, obszedłem go dokoła, wsiałem do mego wozu i odjechałem szybko, ale nie panicznie. Kiedy zakręcałem, wydało mi się, że ktoś patrzy w moją stronę zza żelaznych sztchet cementarza opodal uchylonej furtki, lecz nie obejrzałem się nawet; było to strusie pociągnięcie, jak gdybym wierzył, że ten, kto patrzył, nie zobaczy mnie, skoro ja go nie zobaczę – ale nic nie mogłem już odmienić w tym, co się stało. Czekać u wjazdu na autostradę, aby nadeszła luka, w którą się wśliznę, pomyślałem, że pieniędzy zostało aż nadto na luksusowy pogrzeb.

Wjeżdżając do miasta, zatrzymałem się w pobliżu automatu i zatelefonowałem na komisariat podmiejski. Powiedziałem dyżurne-

mu, że przed cmentarzem w aucie zmarł nagle jakiś człowiek i zanim jeszcze zaczął mnie wypytywać, powiesiłem słuchawkę i wróciłem do samochodu.

Sień domu, w którym mieściło się moje biuro, była rozkosznie chłodna; pojechałem windą na górę, otworzyłem drzwi – od progu zauważyłem, że przez otwarte okno nalało się deszczu na podłogę, nawet na papiery, które zaścielały biurko, ale nie było tam nic ważnego. Zawarłem okiennice, zrobiłem światło, bo zmierzch zgęstniał już na dobre, i wyjąłem z kieszeni ten list. Przywarł do niego banknot. Wyciągnąłem z kieszeni inne. Myślałem, że wziąłem czterysta, ale było ich pięćset – pięć zielonych elastycznych papierków. Oprawca trupów.

Siedziałem przez chwilę u biurka z przymkniętymi oczami, szukając jakiegoś wyjścia.

Jeżeli nie da mi to spokoju, przeznaczę je na jakiś cel dobroczynny – postanowiłem – ale wcale nie zrobiło mi się od tego lżej. A jednak dziwna rzecz, wiedziałem, że gdybym mógł anulować wszystko, co zaszło, i przeżyć tę historię jeszcze raz, postąpiłbym chyba tak samo. Ostatecznie wszystko zależało teraz od listu. Wysłany był z Tompsintregdown pod Nowym Jorkiem, nosił datę sprzed czterech miesięcy.

„Drogi Przyjacielu!

Dni moje są już policzone. Okłamuję mnie tu, ale wiem, jak sprawy stoją. Gdyby mi się to stało jak każdemu, pogodziłbym się, bo narzekać nie mogę na życie i miałem je takie, jakie chciałem mieć. A jeśli nie mam teraz spokoju, to nie tylko przez dolegliwości i te wstrętne rzeczy, które dzieją się z człowiekiem, gdy jego ciało odmawiać zaczyna już posłuszeństwa i gdy choroba bierze górę nad trzeźwością myśli, lecz głównie dlatego, że mam umrzeć w taki sposób, a ci, którzy są mojej śmierci winni, pozostaną bezkarni. To sprawia, że piszę do Ciebie, mój Drogi. Oprócz Ciebie nie pozostał mi już nikt i nie mam do kogo się zwrócić. Wolą moją i ostatnim życzeniem jest, abyś mnie pomścił. Uczynisz to tak, jak będziesz sam uważał za właściwe, czy to wynajawszy odpowiednich ludzi, czy też inną drogą. Cały mój majątek zapisałem, jak wiesz, Fundacji Hoppsztosshera z zaleceniem, aby został obrócony na rozbudowę szpitala w Cambridge, w którym oddała Bogu duszę moja biedna Mary. Ze względu na jej pamięć nie chciałem teraz zmieniać brzmienia testamentu, aby nie wyszło na to, że dla pomszczenia siebie odejmuję pieniądze prze-

znaczone dla fundacji. Aby jednak umożliwić Ci swobodne wypełnienie ostatniej mojej woli, złożyłem w banku Central Ypsilon kwotę 10 000 dolarów w gotówce, która zostanie wypłacona do rąk własnych Tobie lub Twemu pełnomocnikowi za podaniem umówionego hasła, które brzmi tak jak pierwszy wiersz tej książeczki, którąśmy razem w młodości najwięcej ze wszystkich cenili. Polecam Cię teraz Bogu, mój drogi Methody, i w przekonaniu, że wypełnisz to, czym Cię obarczam, pozostaję na zawsze Twój

Cyryl”.

Siedziałem nad tym listem, aż zrobiło się całkiem ciemno, a światło lampy biurkowej odbijać się zaczęło niewyraźną plamą w szybie. Wstałem wówczas, zapuściłem rolety, wyjąłem z szuflady pustą teczkę, napisałem na niej dużymi literami: „SPRAWA CM. Z polecenia MPB”; pod spodem w lewym rogu wpisałem datę rozpoczęcia – dzisiejszą, wrzuciłem do środka list, zachowując sobie tylko jego kopertę, zamknąłem teczkę w małym ściennym sejfie i opuściłem biuro z coraz silniejszym bólem głowy.

Z nastaniem nocy upał oddawany przez mury powrócił i znowu, jak w ciągu ostatnich tygodni, pojawiły się na ulicy beczkowszy sunące między korowodami aut jako ruchome tęcze w ich reflektorach, ale woda parowała tak szybko, że po godzinie, kiedy wyszedłem z małego baru na rogu, asfalt był już całkiem suchy. Dochodziła dziesiąta i Brauner powinien już być siedzieć w redakcji. Od miejsca, w którym zaparkowałem samochód, dzieliło mnie nie więcej niż dwieście kroków, ale kiedy do niego doszedłem, koszula lepiła mi się już do pleców. Spuściłem wszystkie szyby, żeby nie czuć wstrętnego zapachu benzyny, jaki wydzielalo stare pudło, i pojechałem do redakcji. Dwa razy okrążyłem kwartał, nie znajdując ani jednego wolnego miejsca, przyspieszając tylko wtedy, kiedy mijalem policjanta na rogu, aż prawie przed samym wejściem wyjechał nagle duży oldsmobile. Zająłem jego miejsce i pojechałem na górę. Cały gmach dudnił głucho od pracy maszyn rotacyjnych. Zobaczyłem Braunera już z daleka przez szybę, za którą siedział jak w oknie wystawowym obstawiony telefonami, z wentylatorem, który dmuchał mu prosto w twarz, strzygł jakieś notatki wielkimi nożycami. Pokazał szerniałe zęby w imitacji uśmiechu, kiedy wszedłem.

– Stary, Kochany chłop jesteś – powiedział. – Nie zapomniałeś o mnie, co?

- Właśnie sobie myślałem, że masz dziś noc. Dużo roboty?
- No, no - powiedział - nie z tej strony. Za gorąco. Czego ci trzeba?
- Nic specjalnego - odparłem, siadając tak, żeby i na mnie trochę dmuchało. Maszyn drukarskich nie słyszałem, tylko podłoga drżała delikatnie; po jakimś czasie można się było do tego przyzwyczaić. Zajrzałem mu przez ramię, układał wiadomości do kroniki miejskiej. Wydało mi się, że tej historii w ogóle nie ma, aż znalazłem ją na samym dole przyklepioną krzywo - dwuwierszową notatkę o C.M. Washersze przybyłym z Colorado, który zmarł nagle przy cmentarzu Pad-deltrops.

- Znalazłeś? - spytał. Cała twarz świeciła mu się od potu, którego nawet nie ocierał.

- Niczego nie szukałem. Słuchaj, czy nazwisko „Maysters” mówi ci coś?

- Maysters? Maysters... - powtórzył, marszcząc czoło, aż poruszyła mu się skóra z rzadkimi włosami na głowie. - Co to ma być? Defraudacja? Mord?

- Ech, nie - po prostu taki bogaty facet, który zrobił grubszy zapis dla Fundacji Hoppsztosshera...

- Fiu... - gwizdnął - to takich masz teraz klientów? Gratuluję...

- Słyszałeś o nim?

- Coś było, zdaje się, w zgonach i urodzinach. Możesz sobie poszukać.

Skinąłem głową i wyciągnąłem z szafki za jego plecami wielkie teczki ze zszywkami numerów „Heralda”. Zacząłem wertować je wstecz, poczynając od daty umieszczonej na grobowcu. Pokój drżał, od czasu do czasu zablakana ćma z głuchym stuknięciem rozlatywała się na strzępy w wirującej tarczy wentylatora, gołe żarówki nad stołem Braunera zakłuły w oczy, kiedy podnosiłem wzrok, aby nań zerknąć, ale robił swoje, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Nareszcie w numerze sprzed jedenastu tygodni odnalazłem wzmiankę, która mogła coś znaczyć.

„Wczoraj zmarł w lecznicy dra Johnstona C.K. Maysters. Cały majątek, wynoszący 180 000 dolarów, pozostawił w zapisie Fundacji Hoppsztosshera...”

W informatorze, który leżał z drugiej strony biurka, odszukałem adres lecznicy Johnstona: Amber Pamber 19. Elektryczny zegar na ścianie pokazywał kwadrans po jedenastej. Koszula Braunera była pod pachami i na karku ciemna od potu. Kiwnąłem mu, schowa-

lem notes z zapisanym adresem i wyszedłem. Na ulicy nie było ani trochę chłodniej. Dziewczyna w bladoróżowej sukni próbowała mnie zaczepić, ale przyjrawszy mi się z bliska, odeszła bez słowa. Na pewno wzięła mnie za tajnego. Tak jakoś wyglądam, chociaż sam nie wiem czemu. Pojechałem do domu, wziąłem gorący tusz i nagi jak niemowlę położyłem się na łóżku. Przez okno wpływał falami ciężki i duszny łoskot kolei podziemnej. Sine i czerwone refleksy pełzały po suficie. Miałem słabą nadzieję, że doktor Johnston nie leczy umysłowo chorych. Zastanawiałem się, którego z moich stereotypowych podejść mam jutro użyć. Wszystko razem nie miało za grosz sensu. Nikt niczego mi nie zlecił, a jeśli zabierałem się do roboty, udawałem przed sobą, że to tylko dlatego, aby usprawiedliwić się z kradzieży. Nie mogłem zasnąć. Było tak gorąco, że przez chwilę rozważałem serio, czy nie położyć się do napelnionej wodą wanny. Problem ten zajął mnie do tego stopnia, że straciłem przytomność.

II

Lecznicza Johnstona wznosiła się białym, przeszklonym masywem u samego końca bulwaru. Po przeciwnej stronie bardzo szerokiej jezdni był niewielki parterowy bar, o tej porze pusty. Nie znalazłem ani skrawka cienia, w którym mógłbym postawić samochód, a byłem zbyt leniwy, by zjechać serpentyną w dół, ku prywatnym ogrodom nadrzecznym, a potem wracać pieszo na górę. Zaparkowałem więc w pełnym słońcu i wszedłem do środka. Za kontuarem siedziała dziewczyna w malutkim, koronkowym czepku na tlenionych włosach, miały różowawy odcień. Niski dach już się nagrzewał. W pustym lokalu drgały błyski słońca. Wypiłem dwie filiżanki kawy, zostawiając sobie kieliszek rumu na koniec, i wdałem się w pogawędkę z kelnerką.

- Nie - odpowiedziała na moje pytanie. - Lekarze nie zachodzą tu, najwyżej czasem któryś z pacjentów, takich już zdrowszych, ale rzadko, bo profesor tego nie lubi. Zresztą na niczym im tam nie zbywa, mają podobno doskonałego kucharza, Chińczyka.

- Profesor? - rzuciłem z ustami pełnymi grzanek. - To Johnston jest profesorem?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami - tak go nazywają... niektórzy.

- A inni jak? - poddałem obojętnie.

W uśmiechu stała się prawie ładna.

- Balon - powiedziała, zniżając głos, i prychnęła. - Dlaczego? Żeby pan go zobaczył. Taaki jest! - pokazała rękami obwód wyobrażonego brzuszyska.

- Mój wuj leczył się tu - powiedziałem, zapalając papierosa. - Pa-li pani...?

- Nie, dziękuję.

- To było parę miesięcy temu. Bardzo był schorowany, biedak. Nazywał się Maysters... Słyszała pani może to nazwisko?

Przestała wycierać ściereczką niklowe rury ekspresu.

- Jak pan powiedział? Ale chyba nie TEN Maysters...?

- Na imię miał Crispin... Ma pani może jakieś ustnikowe?

- Proszę - położyła przede mną paczkę viscountów. - To on był pana krewnym...? Myślałam, że nie miał nikogo...

- Przychodził tu? - zagadnąłem, patrząc przez szklane ściany na ulicę. Wielki, czarny, opancerzony chromem cadillac zajeżdżał pod fronton szpitala.

- Gdzież tam, nigdy go nawet nie widziałam... był przecież taki chory. Inni pacjenci profesora opowiadali o nim, pan wie, jak to jest. Kiedy ktoś ma pieniądze...

- A tak. On je miał. Ale nie przyniosły mu pociechy.

- Prawda...? Ja też myślę, że pieniądze nie są najważniejsze... Pan może też z Południa tak jak on?

- Nie, ja z bliższych stron. Więc powiada pani, że pacjenci mówili o moim wuju? A można wiedzieć co? Bo w końcu to były jego ostatnie chwile...

- Mówili, że wszyscy lekarze skaczą koło niego, razem z profesorem, i ze skóry wylażą, ale i tak nic mu nie pomogli. Ale pan nigdy... - urwała.

- Musiałem wyjechać na kilka miesięcy - zdławiłem w zarodku jej pytanie. - Czy o zapisie też może mówili?

- A jakże... przecież to przez to... to musiał być chyba cios dla pana... - dokończyła ciszej i ostrożniej, nie patrząc na mnie.

- Że wszystko zapisał fundacji? Nie, dlaczego? Nie oczekiwałem spadku. On dawno już postanowił, że pieniądze ofiaruje fundacji.

- Powinni mu byli jednak powiedzieć... - mruknęła jakby do siebie. - Chociaż go tak pilnowano i nie dopuszczano nikogo, mógł ktoś mu to powiedzieć. Ja, gdybym tam była, na pewno bym się jakoś wśliznęła. Szkoda, że pana tu wtedy nie było. Pan by mu powiedział i może wszystko ułożyłoby się inaczej.

- Przepraszam, zamyśliłem się. Co właściwie miałbym mu powiedzieć?

- No, jak to, że ta cała fundacja to też Johnston. Przecież wszyscy o tym wiedzą.

- Zaraz... Pani chce powiedzieć, że Maysters zapisał pieniądze Johnstonowi?

- Nie. Nie Johnstonowi. Podobno jest tam jakaś rada nadzorcza. Nie wiem dokładnie. Ale gdyby wiedział, nie wybrałby się chyba akurat do lecznicy, której właściciel ma w tej radzie najwięcej do powiedzenia... Nie wydaje się panu?

- Skąd pani wie, że on nie wiedział...?

- Tak mówiono. Inaczej, po co by go tak izolowali od wszystkich innych chorych? Pani Cormick uważała, że trzeba napisać do niego list - ale kto może wiedzieć, czy on by ten list dostał...

- Pani Cormick? Co to za jedna?

- Żona tego Cormicka z telewizji.

- Ach, tego magika! Znała mego wuja?

- No tak, bo się leczy u profesora już prawie rok. Mnie się zdaje, że jej w ogóle nic nie jest, a tylko nie chce wrócić do domu.

Znowu się uśmiechnęła skrycie, do siebie. Zerknęła na mnie, jakby chcąc się przekonać, czy zasługuję na zaufanie.

- Wyobrażam sobie, jakie on miał z nią pożycie... Opowiada zawsze, że to przez niego jest chora - no, a kiedy tu siedzi, mąż musi grubo płacić za tę jej chorobę. Umyślnie wybrała zakład profesora, bo należy do najdroższych.

- Więc co z tego...?

- Mężczyźni strasznie są naiwni - uśmiechnęła się wprost do mnie, poprzez kontuar, trzepocząc ogromnymi rzęsami. - Założyła mu dren, dolarowy dren, nie rozumie pan? W ten sposób Cormickowi nie zostaje wiele na słomiane wdowieństwo...

- To tak... a ona jeszcze tu siedzi, ta pani Cormick?

- Tak. Pewno zaraz przyjdzie. Zwykle przychodzi o tej porze, na gin, jak tylko skończy się lekarska wizyta... Profesor potem się wścieka, że pacjenci piją...

- Ach, to nie wolno im?

- Pewno, ale co mnie to obchodzi? Klient to klient, no nie?

- Naturalnie...

- O, właśnie idzie. Nawet sama jest dzisiaj, widać ten inżynier z nerkami też ma jej dość...

Zaczęła energicznie polerować kurki ekspresu, dając tym do zrozumienia, że rozmowa się skończyła. Dzwonek u drzwi odezwał się szklanym dźwiękiem i do baru weszła tęga, platynowo tleniona blondyna w jaskrawofioletowym szlafroku z wyszywanymi smokami; prześliznęła się po mnie spojrzeniem uczernionych oczu, doszła, kołysząc biodrami, do lady i stuknęła w nią pierścionkiem. Miała duże, męskie prawie ręce z krwawymi paznokciami.

- Dzień dobry, Milly, dasz mi kawkę? - odezwała się odrobinę schrypłym altem.

Kelnerka postawiła przed nią plastikową tackę. Oprócz filiżanki stał na niej kieliszek.

Blondyna wzięła ją i odeszła w głąb sali, kołysząc biodrami, tyleż pretensjonalnie, co śmiesznie. Położyłem na ladzie dolara, kiwnąłem kelnerce i skierowałem się do stolika, za którym siedła blondyna.

- Przepraszam - odezwałem się, stając przed nią - czy pani Cormick?

- Być może... - odparła z wolna, mierząc mnie od stóp do głów wzrokiem - ale nie przypominam sobie, żebym pana znała.

- Zaraz wyjaśnię, jeśli pani pozwoli. Nazywam się Marble, jestem - a właściwie byłem - siostrzeńcem pana Maystersa. Niestety, nie było mnie w kraju podczas jego choroby i teraz staram się zebrać informacje o jego ostatnich chwilach... Słyszałem, że pani mogłaby mi coś powiedzieć...

- Słyszał pan? Dziwne. Od kogo pan to słyszał?

- To znaczy, mówiąc ściślej, jeden z pacjentów doktora Johnstona, który jest znajomym mojej siostry, pisał coś o tym i wymienił pani nazwisko...

- Tak? A kto to był ten pacjent...?

- Zapomniałem, niestety, nazwiska. To był jakiś inżynier, zdaje się, czy coś w tym guście... Jeżeli to pomyłka, bardzo panią przepraszam. Wróciłem dopiero w zeszłym tygodniu, kiedy adres wuja się zmienił na ostatni. Cmentarz... - dokończyłem ciszej i zrobiłem taki ruch, jakbym chciał się uklonić i odejść. Pani Cormick, która podnosiła właśnie do ust filiżankę, spojrzała na mnie. Twarz jej dawała najlepsze świadectwo kosmetykom, jakich używała, ale na zmarszczki na szyi niewiele już mogły poradzić.

- Niech pan siada - powiedziała. - Więc Maysters był pańskim wujem?

- Tak.

- Był pan już u profesora?
- U doktora Johnstona? Nie.
Oczy jej błysnęły.
- Tak...? Zamierza pan wystąpić o obalenie testamentu?
Nieglupia ta pani Cormick – pomyślałem.
- Nie – powiedziałem wolno, z wahaniem, jak gdybym nie wiedział, co począć. – Chciałem... Przede wszystkim chciałem dowiedzieć się bliższych szczegółów...
- Wiele panu nie powiem.
Odstawiła filiżankę. Przez chwilę bawiła się nóżką pełnego kieliszka jakby niezdecydowana, czy może wychylić go w mojej obecności.
- O co panu właściwie chodzi? – spytała cicho, nie patrząc na mnie.
- Powiedziałem przecież... Chciałbym dowiedzieć się, jak mu tu było... Co robił, co mówił...? Czy miał należytą opiekę...? – bąkałem.
- O, na pewno. Opiekę miał. Nadzwyczajną nawet – odparła z ledwo uchwytnym przekąsem. – Profesor przydzielił mu dwie pielęgniarki, które nie opuszczały jego pokoju ani na minutę, aż do samego końca.
- Może od tych pielęgniarek mógłbym się czegoś dowiedzieć...
- mruknąłem jakby do siebie. Spojrzała na mnie z drobnym, ironicznym uśmiechem.
- Tak pan sądzi?
- Może. Pani zna nazwiska tych pielęgniarek?
- Znam dzienną. Elżbieta Kovas. Ale niech się pan nie fatyguje, nic panu nie powie.
- Jest pani tego pewna...? Dlaczego, przecież w końcu rodzina ma prawo...
- To dlaczego nie udał się pan od razu do profesora...? – spytała. Nastąpiło krótkie milczenie.
- Zamierzałem do niego pójść... – odezwałem się wreszcie. – Ale pierwszej chciałem usłyszeć coś ze źródła... hm... nieoficjalnego.
- Czy pan wie, na co umarł pański wuj?
Przekłęta baba! – pomyślałem ze wściekłością, starając się równocześnie przybrać możliwie naiwny i zdumiony wyraz twarzy.
- No tak... – powiedziałem z wahaniem... – a czemu pani pyta...?
- Bo pan podejrzewa, że umarł na coś innego. Prawda...?
Milczałem.
- O tym nic nie mogę panu powiedzieć – odezwała się po krótkiej chwili. – I nie przypuszczam, żeby było tak, jak pan sądzi.

- Ależ ja nic nie sądzę...
- Och, niechże pan nie udaje...
- Niechże mi pani powie przynajmniej, czy wuj mówił coś pani. Co?
- Goni pan w piętę. Cóż miałby mi do powiedzenia? Przecież słyszał pan, co mówiłam o pielęgniarkach. Nigdy nie był sam.
- A jednak napisał pewien list... - rzuciłem ponuro zapatrzony w sfaldowany na kolanach pani Cormick zielony jedwab.
- A, to pan wie o tym?
- Wiem. A co pani wie?
- Wysłałam ten list.
- Prosił panią o to?
- Nie, dał mi go w książce, którą mu przedtem pożyczyłam; zrobił to w specjalny, znaczący sposób, tak że się domyśliłam.
- I nic więcej pani nie wie?
- Nie. Pan zna treść tego listu?
- Znam.
- W takim razie wie pan więcej ode mnie. Podejrzał coś?
- Tak.
- Co?
- Nie sprecyzował tego. Wyraził się w tym sensie, że istnieją winni jego śmierci.
- Ale przecież... - pani Cormick zaczęła i urwała.
- Co przecież? - podchwyciłem, ale miała się już na baczności.
- Oprócz listu było jeszcze coś - powiedziała szeptem.
- Co?
- Lekarstwa.
- Lekarstwa? Jakie lekarstwa?
- Te, które dostawał. Na jakieś dwa tygodnie przed śmiercią, kiedy pielęgniarka wiozła go do łazienki, na fotelu, stałam w przejściu na korytarzu, i podał mi wtedy paczuszkę zawiniętą w chustkę do nosa. Były tam różne pigułki i proszki. Przypuszczam, że nie brał wszystkiego, co mu dawano, ale odkładał i chował część.
- I pani to ma?
- Tak.
- Gdzie?
- Wysłałam to pocztą, poleconym, do mojej siostry i napisałam, żeby to przechowała.
- Poda mi pani adres siostry?
- Zastanowię się nad tym...

- Czy to było po liście, czy przed nim?
- Po liście.
- Wiedział, że pani to wysłała?
- Nie. Dałam mu raz znak, ale nie więcej nie mogłam zrobić.
- Więc pani naprawdę sądzi, że truto go...? Lekarze...?
- To pan powiedział – odparła spokojnie i uśmiechnęła się słabo.
- Co będzie z tym adresem?
- Namyśle się jeszcze.
- A... ta książeczka, którą dał pani wuj... co z nią? Ma ją pani może?
- Mam. Pan wie, co to za książka?
- Tak – powiedziałem.
- Słucham.
- Proszę?
- Jak brzmi jej tytuł?
- Ach, pani mi nie ufa... – powiedziałem z bezmiernym zdumieniem. – W końcu nie musiałbym przecież wiedzieć, co to była za książka, prawda?

- Ale powiedział pan, że pan ją zna.
- Tak, bo wuj nie rozstawał się z nią. Miał przyjaciela nazwiskiem Washer, tego, do którego był ów list wysłany przez panią. Ta książka znaczyła dla nich od czasów młodości bardzo wiele. Czy mogę prosić, aby mi ją pani dała?

Podąłem jej ognia. Zaciągnęła się głęboko i wypuszczając dym nieco impertynencko, prosto w moją twarz, powiedziała ochryple:

- Nad tym też się zastanowię.
- A kiedy skończy się ten namysł?
- Nie wiem.
- Czy mogę przyjść tu jutro?
- Ten lokal nie należy do mnie.
- Nie rozumiem. Pomagała pani w miarę możliwości memu wujowi, a teraz, kiedy przychodzę, żeby jakoś rozwikłać zagadkę wokół jego śmierci, zachowuje się pani prawie że wrogo... Dlaczego?

- Pan nie wie?
W pełnej, uszminowanej twarzy miała twarde, małe oczy, którymi nawiercała mnie, jak podczas przesłuchania.

- Skąd mogę wiedzieć, kim pan jest?
- To o to...?

Zacząłem nerwowo grzebać po kieszeniach, aż pokazałem jej wyjętą z wewnętrznej kopertę listu.

- Czy to pani wystarczy...?
- Tak.
- I poda mi pani adres siostry? I da mi pani książkę?
- Muszę już iść, profesor gotów się wściekać. Niech pan przyjdzie jutro.

- Ale przynajmniej adres mogłaby mi pani... Przecież to nie zajmie czasu - poniżyłem się do próśb. Kiwnęła przecząco głową.

- Do jutra.

Wstała i wyszła, kołysząc rozłożystymi biodrami. Siedziałem chwilę, aż coś gorącego musnęło moją rękę spoczywającą na oparciu krzesła.

Wstałem powoli i ruszyłem do drzwi niezdecydowany. Mogłem na własną rękę rozpocząć poszukiwania siostry pani Cormick, ale to było ryzykowne, bo gdyby nie udało mi się dostać od niej paczuszki od razu, potem byłoby to już nadzwyczaj trudne. Nie rozumiałem nadto, czemu pani Cormick umówiła się ze mną na dzień następny, nie wyglądała mi na kobietę smakującą w taniej konspiracji. Zamyślony wsiałem do auta i omal nie krzyknąłem - tak wrzący zaduch sparzył moje nozdrza, skóra na siedzeniach piekła żywym ogniem przez ubranie. Od razu zacząłem się pocić. Nawróciłem wściekły i wciągając powietrze o smaku gorącej benzyny, pojechałem do miasta. Po drodze z automatu zatelefonowałem do Braunera. Poprosiłem go, żeby dowiedział się, czy przeprowadzono sekcję zwłok Washera. Obiecał, że to załatwi, po czym wróciłem do biura. Powietrze dygotało nad miękącym asfaltem. Kurz piekł w oczy, beczkowsy migły fontannami rozpryskiwanej wody, która schła jakby lana na rozpaloną blachę. Nawet w windzie było duszno. Drzwi mego biura były niedomknięte. Zdziwiło mnie to, bo pamiętałem, że zamknąłem je za sobą, nie na klucz co prawda; chociaż zdarzało się to rzadko, czasem jednak jakiś klient zostawiał pod moją nieobecność parę słów czy wizytówkę.

Zajrzałem do hallu szumnie zwanego poczekalnią. Ktoś siedział w najciemniejszym kącie. Kobieta. Przeglądała machinalnie ilustrowany tygodnik. Wszedłem i zatrzasnąłem za sobą drzwi. Podniosła na mnie oczy, nie ruszając się z miejsca. Była bardzo młoda, ocenilem ją na dwadzieścia, najwyżej dwadzieścia dwa lata. Naturalna blondynka prawie nieumalowana, z wyjątkiem ust; nie odzywała się, nie zmieniła pozycji, kiedy na nią patrzyłem, aż zaczęło się to robić trochę dziwne.

- Proszę - wskazałem na drzwi gabinetu - proszę...

Idąc za nią, poczułem słabą woń nieznanych perfum. Ubrana była na białą, mimo upału w kostium, nosiła cienkie, przezroczyste ręk-

kawiczki, dużą płaską torebkę. U progu, nie patrząc na pokój który wydał mi się bardziej zapuszczony i pełen kurzu niż kiedykolwiek, zwróciła się ku mnie ze słowami:

– Pan Cavish?

– Tak – powiedziałem – to ja. Proszę spocząć. Czym mogę pani służyć?

Wskazałem jej najwytworniejszy mój mebel, wielki leniwiec przeznaczony dla klientów, a sam, obszedłszy biurko, siadłem za nim i złożyłem przed sobą ręce.

– Pan jest detektywem? – odezwała się.

– Tak.

– Chciałabym, żeby pan... zrobił coś dla mnie.

– Po to tu jestem – powiedziałem.

– Pana obowiązuje dyskrecja, tak samo jak adwokata, prawda? – spytała. Siedziała na samym brzeżku fotela, trzymając nogi razem, ręce ukryła za torebką jak za tarczą. Głos miała miły, równy, sprawiała wrażenie nadzwyczaj spokojnej. Znadto nawet spokojnej, powiedziałbym.

– Tak. Jak adwokatów i lekarzy – odparłem.

Zatrzepotała powiekami.

– I lekarzy? Co to ma znaczyć?

– Ach, nic, tak mi się powiedziało.

Opuściła głowę.

[– Chodzi o pewnego człowieka... – zaczęła i urwała.

– Zawsze chodzi o człowieka – poddałem życzliwie. – Czy mogę zapalić?

– Proszę.

– Pali pani?

– Dziękuję, nie. Nie teraz. Chciałabym, żeby pan go... śledził. Ale tak, żeby on tego nie zauważył.

– Oczywiście, oczywiście – przytaknąłem, wydmuchując dym w górę.

– To nie ma ze mną żadnego związku... Prosiła mnie pewna znajoma, która pragnie pozostać... poza całą sprawą. Ten człowiek wyjedzie dzisiaj wieczornym pociągami do Pasadeny. Będzie na dworcu centralnym o szóstej trzydzieści, będzie miał bilet pierwszej klasy w przedziale czteroosobowym... Starszy, siwy, w beżowym ubraniu i słomkowym kapeluszu... i będzie trzymał w prawej ręce flet.

*– Jak proszę?]**

* W nawiasach kwadratowych umieszczono alternatywne warianty rozwoju akcji, z których autor ostatecznie zrezygnował.

- Nie wiem, jak mam to powiedzieć – odezwała się.
- Może jednak spróbuje pani... – poddałem życzliwie. – Papierosa?
- Nie, dziękuję. Chciałam... spytać pana o coś.
- Proszę, niech pani pyta.
- Pan był wczoraj na cmentarzu Paddeltrops?
- A jeżeli byłem...?
- To znaczy, że pan był... i widział się z moim ojcem?
- Nie znam pani, więc nie wiem, czy znam jej ojca – powiedziałem miękko. – Jak się pani nazywa?
- Washer. Zuzanna Washer. Mówił pan z nim?
- Nie.
- Nie chce pan powiedzieć prawdy?
- Mówię prawdę. Może umówimy się, że oboje powiemy sobie nawzajem, co wiemy, dobrze? Pani zaczyna...
- Nie, pan...
- Ze względów, które pani zaraz pozna, wolałbym jednak, aby pani była pierwsza. O co chodzi?
- Przygryzła wargę.
- Podjął się pan prowadzenia tej sprawy?
- Jakiej sprawy?
- Ach, proszę nie bawić się ze mną w ciuciubabkę!
- Okoliczności towarzyszące śmierci doktora Maystersa?
- Proszę, niech pan tego nie robi! Niech pan wytłumaczy memu ojcu, że nie ma mowy o jakiejś zbrodni czy morderstwie! Doktor Maysters umarł w najnaturalniejszy sposób, białaczka nie jest w tym wieku niczym niezwykłym, a cała ta historia z otruciem wylęła się po prostu w jego umyśle, kiedy był już ciężko chory i wydawało mu się, że ktoś czyha na jego pieniądze.
- Jeżeli jest tak, jak pani mówi, to ewentualne dochodzenia nie mogą przynieść nic złego. Najwyżej potwierdzą, że pani ma słuszność... Nawiasem mówiąc, skąd pani tak dobrze wie, na co umarł Maysters?
- Bo go leczyłam.
- Pani go... Przepraszam, pani jest lekarzem?
- Tak. Podejrzywałam białaczkę, ale nie miałam możliwości sprawdzenia diagnozy i dlatego poradziłam doktorowi, żeby udał się do Johnstona.
- Pani skierowała go do tej lecznicy?

- Tak, ja. Ojciec mój jest chory proszę pana. Ciężko chory na serce. Od chwili, kiedy dostał list, stracił całkowicie spokój, nie mógł spać i nie mówił o niczym innym, jak tylko o tej ostatniej woli, o ostatnim życzeniu przyjaciela. To, że wybrał się autem w taką drogę, było wręcz szaleństwem. Proszę, niech pan mu wytłumaczy...

- Kiedy pani przyjechała?

- O pierwszej samolotem. Przybyłam tu wprost z lotniska.

- Ach, tak. I nie czytała pani porannych gazet?

- Nie. Czy coś się...

Skinąłem powoli głową.

Nie zbladła. Patrzyła na mnie mocno szarymi oczami, bez tchu.

- Mój ojciec?

- Tak...

- Jest w szpitalu?

- Niestety...

Zerwała się i podeszła do okna. Z głową przyciśniętą do framugi spytała cicho:

- Nie żyje. Tak?

- Tak.

Długą chwilę trwało milczenie. Ręka jej osunęła się wzdłuż listwy okiennej. Torebka ze stukiem spadła na podłogę, ale nie podniosła jej, nawet się nie poruszyła. Wstałem wolno, podjąłem ją, położyłem na parapecie.

- Niech się pani weźmie w garść - powiedziałem. - To musiało przyjść prędzej czy później...

- Nie, nie. Niech pan nic nie mówi...

Wróciłem do biurka. Zapaliłem papierosa, nie patrząc w jej stronę.

Po kilku minutach oderwała się od ramy okiennej.

- Co jestem panu winna?

- Nic.

- Jak to się stało? Był pan przy tym?

- Nie.

Opowiedziałem jej wszystko, pominąwszy tylko kradzież pięciuset dolarów. Dodałem też jedno kłamstwo: powiedziałem, że list Maystersa leżał na siedzeniu w aucie.

- Gdzie jest teraz...? - nie dokończyła.

- Pani ojciec? Przypuszczam, że w kostnicy miejskiej. Chce pani tam iść? Mogę panią zawieźć.

- Nie, dziękuję. Pójdę sama.

Stała wciąż obok fotela.

- Gdybym mógł pani w czymś pomóc - zacząłem, podając jej wizytówkę. - Tam jest numer telefonu...

- Nie, nie. Dam sobie radę. Dziękuję. Do widzenia.

Poszła - zamiast ku drzwiom prosto do wyjścia - ku ślepych drzwiom, które odgraniczają moje biuro od dalszych pomieszczeń tego piętra. Podniosłem się, naprowadziłem ją na właściwą drogę i stałem u progu, nasłuchując pospiesznego stukotu jej czółenek. Potem szczęknęły drzwi windy. Wróciłem do siebie, zdusiłem dopalonego papierosa i siedziałem jakiś czas z zamkniętymi oczami, nareszcie wyjąłem z szuflady teczkę „SPRAWA CM. Z polecenia MPB” i przekreśliłem ją na krzyż. Jakaś chwilę wahałem się, co zrobić z listem, aż włożyłem go do kieszeni. Zadzwoił telefon. Podniosłem słuchawkę.

- Robert Cavish?

- To ja.

- Mówi mecenas Seomour. Chciałbym się z panem zobaczyć.

- I owszem, panie mecenasie. Może jutro?

- Wolalbym dziś, jeśli to nie sprawi panu różnicy.

- W jakiej to sprawie, jeśli łaska?

- Powiem panu osobiście. Kiedy może pan do mnie przyjść?

- Nawet zaraz.

- Wobec tego czekam.

Odłożona słuchawka dźwięknęła. Seomour i Watkins to stara firma adwokacka zajmująca się prowadzeniem spraw cywilnych, dawniej głównie wielkiego przemysłu, ale w ostatnich latach wyspecjalizowała się w doradztwie prawnym na usługi rozmaitych bogatych nierobów; nie miałem z nią nigdy żadnego kontaktu. Być może szło o pracę dla jakiegoś ich klienta. To by mi odpowiadało, bo sprawa Maystersa przestała właściwie istnieć. Pozostał mi po niej tylko niesmak i kłopot związany z pięciuset dolarami, które ukradłem. Odłożywszy do lepszej chwili namysł nad sposobem, w jaki się tych pieniędzy pozbędę, opuściłem biuro. Biuro adwokatów znajdowało się nie dalej niż sześćset kroków od mojego, nie wziąłem więc auta. Po drodze wstąpiłem do narożnego baru, ale upał odebrał mi apetyt, tak że zjadłem tylko kilka parówek; zahałem się, czy popić je czymś, gdyż czcigodnych adwokatów mógł zrazić buchający ode mnie gorzelniany odór, ale nie zależało mi na nich aż tak bardzo.

Mecenas Seomour urzędował w olbrzymim, po wiktoriańsku urządzonej gabinecie, pośród zwałistych księgozbiorów; był otyły, z nalaną, gładko wygoloną twarzą, w której binokle świeciły zimnym blaskiem.

Jak gdyby przez zapomnienie nie prosił mnie, bym usiadł. Nie podał mi też ręki.

– Pragnąłbym wiedzieć – rzekł, za ledwie drzwi zamknęły się za sekretarką, która mnie wprowadziła – kto właściwie zlecił panu szpiegowanie kliniki doktora Johnstona?

– Czy mam od razu paść na kolana, czy dopiero potem? – spytałem.

Seomour chrząknął; musiał być niezłym playdoartistą, skoro w jednym chrząknięciu potrafił pomieścić tyle wzgardy. Przysunąłem sobie krzesło o rzeźbionym oparciu i siadłem naprzeciw niego. Jakiś czas patrzyliśmy na siebie – on lodowato, ja – z rozleniwionym spojrzeniem, nieobecny, sennym uśmiechem.

– Nie zamierza pan odpowiedzieć na postawione panu pytanie?

– To, że płaci pan większy podatek dochodowy, nie uprawnia pana jeszcze do niegrzeczności – powiedziałem. – Nie wtrącam się do pańskich spraw, więc czemu pan wtrąca się do moich?

– Doskonale. Wobec tego ostrzegam pana, że jeżeli poważy się pan jeszcze raz myszkować wokół lecznicy doktora Johnstona, nagabywać pacjentów i podawać się za kogoś, kim pan nie jest, podejmę odpowiednie kroki, które mogą się zakończyć odebraniem panu licencji.

– Och, to by było straszne – powiedziałem. – Czy widzi pan te grube krople potu, które wystąpiły na moją wynędzniałą twarz? Święty Boże, pan nie zamierza chyba mnie zniszczyć? Takie zero jak ja nie może przecież zakłócić spokoju znakomitego doktora Johnstona!

– Niech pan nie będzie bezczelny.

– Racja. Jest za gorąco – powiedziałem. – Załatwmy to raz-dwa. O co właściwie zamierza mnie pan oskarżyć?

– O tym dowie się pan we właściwym czasie, jeśli nie zaniecha swego dotychczasowego postępowania.

– Pan jest radcą prawnym doktora Johnstona?

– Tak. Co ma mi pan do powiedzenia?

– Masę rzeczy. Czuję się ostatnio słabo, wie pan, i szukam jakiejś lecznicy, w której wybitni specjaliści podreperowałyby mi nerwy. Jak widzę, jest pan w doskonałych stosunkach z Johnstonem. Może ułatwi mi pan zostanie jego pacjentem?

Nalana twarz Seomoura wyrażała już tylko obrzydzenie

– Ostrzegłem pana – rzekł. – Proszę uważać tę rozmowę za skończoną.

– Skąpany w brudach życia prywatny detektyw opuścił pracownię znakomitego sługi prawa z pochyloną w hańbie głową – rzekłem. – Do widzenia, panie mecenasie, mam nadzieję usłyszeć jeszcze coś od pana.

Siedział jak własny posąg, dopóki nie zamknąłem za sobą drzwi. Na ulicy zrobiło się jak gdyby jeszcze goręcej. Nieliczni przechodnie przemykali zacienionym chodnikiem, przeciwnie, słoneczny, ział pustką. Wróciłem do biura. Drzwi z klatki schodowej były nieodmknięte. Zdziwiło mnie to, bo pamiętałem, że zamknąłem je za sobą, wychodząc, co prawda tylko na klamkę.

Pokój przedstawiał obraz jak po huraganie. Wszystkie teczki wyrzucone zostały na podłogę, papiery zaścielały biurko i krzesła, jedyna zamknięta szuflada biurka została wyłamana. Dopadłem jej z niepokojem – ale obie butelki, które zawierała, znalazłem nietknięte. Pociągnąłem duży łyk, usiadłem na biurku i pokiwałem głową.

– Co za idioci – powiedziałem. – Boże, co za idioci! A ja już gotów byłem powiesić to na kołku...

III

Podręcznik chorób krwi kosztował siedemnaście dolarów. Mogłem zaoszczędzić sobie tego wydatku. Na tysiącu stron wyliczona została taka liczba anemii, że około północy, kiedy zatrzasnąłem go wreszcie z hukiem, niewiele mądrzejszy niż na początku, dziwiłem się już tylko, jak mogę być zdrow. Usiadłem przy telefonie i zacząłem wydzwaniać wszystkie po kolei hotele. W książce telefonicznej figurowało ich sto osiemnaście. Zatelefonowałem jeszcze do biura podróży. Najwcześniejszy samolot odchodził do Pimparduly o siódmej trzydzieści rano. Nastawiłem budzik na szóstą i położyłem się spać.

Jak zwykle ocknąłem się na kilka minut przed szóstą, jeszcze zanim rozterkotał się budzik. Pojechałem do Continentalu, w którym zatrzymała się Zuzanna Washer, i kazałem podać sobie śniadanie. Dziewczyna mogła co prawda zjeść w pokoju i wymknąć się z hotelu niezauważona, ale nie wyglądała mi na osobę, która korzysta z takich udogodnień, zwłaszcza w swej obecnej sytuacji. Dopijałem właśnie kawę, kiedy weszła na salę. Wstałem. Zauważyła mnie od razu. Oczy jej rozszerzyły się nieznacznie, zwolniła kroku, potem skierowała się w moją stronę.

Dostrzegłem, że płakała. Było mi naprawdę jej żal, ale nie miałem innego wyjścia.

- Zechce pani zjeść śniadanie w moim towarzystwie? spytałem.
- Postaram się nie być zbyt natrętny. Naprawdę nie jestem świnia, ale potrzebowałem pani.

- Tak? - powiedziała obojętnie. Stała przez chwilę, tak długo, że jakiś Meksykanin przy sąsiednim stoliku zaczął nas obserwować. Wtedy usiadła. Gdy kelner odszedł, spojrzała na mnie badawczo.

- Słucham - powiedziała tym swoim nadmiernie spokojnym głosem.

Opowiedziałem jej o wszystkim, co wydarzyło się od chwili, kiedy wyszła z mego biura.

- Już ta historia z Seomourem dała mi do myślenia. Reakcja była niewspółmierna do bodźca, tak to nazywają lekarze, prawda? A to przetrząśnięcie moich gratów pachnie już czymś całkiem brzydkim.

- Możliwe - odparła chłodno - ale to nie wyjaśnia pana... obecności...

Nie dokończyła.

- Mego natręctwa - powiedziałem. - Tak pani chciała powiedzieć. Proszę pani, to nie jest czysta sprawa. Rozumiem doskonale pani uczucia, pani ma tego wszystkiego dosyć, tym bardziej po takiej utracie. Ale proszę pomyśleć, jeżeli w tym coś jest... Jakiś brud na dnie, jakiś występki, to powinna mi pani tym bardziej pomóc...

- Ja? W jaki sposób? I dlaczego właściwie?

- Dlatego właśnie. Przez to, co się stało. Tylko wówczas śmierć pani ojca nie będzie całkiem daremna.

Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem i spuściła głowę. Milczeliśmy, dopóki kelner, który przyniósł śniadanie, nie odszedł.

- Wiem, co pani myśli - podjąłem. - Że usiłuję grać na pani uczuciach - w takiej chwili - i wykorzystać je we własnym interesie. Ale proszę pani... Tu nie ma mowy o interesie. W gruncie rzeczy nikt mnie nie zaangażował. Nie będę z tego nic miał, jakkolwiek się rzecz skończy, oprócz masy nieprzyjemności. Powiedziałem pani o pogroźkach Seomoura.

- Więc pan działa... bezinteresownie?

- Tak.

- Wybaczy pan, ale nie jestem tego całkiem pewna.

- Dlaczego?

Zrobiło mi się trochę niewyraźnie. Czyżby wiedziała, z jaką sumą pieniędzy jej ojciec wyruszył w podróż? Niewątpliwie zwrócono jej rzeczy...

- Ja znam list doktora Maystersa. .
- Domyślałem się tego... Ach, wiem. Chodzi o te 10 000 dolarów?
- Tak.
- Możemy zawrzeć umowę – pisemną, jeśli takie będzie pani życzenie. Zwrócę te pieniądze, o ile naturalnie będę je mógł podjąć. Pani albo fundacji, zależnie od tego, jaką decyzję pani poweźmie.
- Patrzyła na mnie znad brzegu filiżanki, nie odzywając się.
- Nie żądam od pani wiele – ciągnąłem. – Chodzi mi tylko o szczegóły choroby doktora Maystersa. O okoliczności, w jakich zapadł na zdrowiu: o symptomy, o diagnozę, a także o to, czy anemię, na jaką cierpiał, może spowodować jakiś sztuczny czynnik.
- Jednym słowem, w dalszym ciągu podejrzewa pan otrucie – powiedziała. Głos jej był pozbawiony wszelkiej intonacji emocjonalnej. – To była tak zwana agranulocytoza. Jego szpik przestał wytwarzać białe ciała krwi. Nie nastąpiło to nagle, proces postępował wolno, w ciągu kilku miesięcy. Początkowo środki, które zastosowałam, dały pewne rezultaty. Jego stan poprawił się, ale na krótko, z wiosną przyszło nowe pogorszenie. Obraz krwi...
- Przepraszam – przerwałem jej – czy diagnoza pani została potwierdzona?
- Tak.
- Przez doktora Johnstona?
- Ściśle mówiąc, nie przez niego, ale przez doktora Janningsa, który jest w jego lecznicy hematologiem. Zastosowano normalne leczenie bodźcowe, leki, transfuzję krwi, ale stan wciąż się pogarszał. Pod koniec doszło do pewnych zaburzeń świadomości.
- Choroba psychiczna?
- Nie. Po prostu organizm był nadzwyczaj wycieńczony, w takich okolicznościach senność, majaczenia, nawet halucynacje nie są niczym niezwykłym. Ponadto gorączkował.
- I tak było do końca?
- Tak było do końca. Czy to wszystko, czego pragnął się pan dowiedzieć?
- Nie. Co może wywołać tę chorobę?
- Różne czynniki.
- Na przykład?
- Choroby zakaźne niekiedy ją powodują.
- Czy doktor Maysters przechodził poprzednio taką chorobę?
- Nie.

- A zatem cóż jeszcze?
- Niektóre trucizny, na przykład arsen, rtęć, tiouracyl, ale to naprawdę nie ma sensu, proszę pana...
- To nic. Proszę mi tylko powiedzieć wszystko, co pani wie. Czy jeszcze jakieś...?
- Najszybciej wywołują agranulocytozę promienie.
- Promienie? Co za promienie?
- Na przykład Roentgena, a także różne pierwiastki radioaktywne.
- A, rozumiem. Więc gdyby ktoś zjadł taki pierwiastek...
Uśmiechnęła się blado.
- Powiedziałem coś głupiego?
- No, zabrzmiało to nieco... humorystycznie - wyjaśniła. - Poza tym kazuistyka nie zna, o ile wiem, wypadków rozmyślnego otrucia pierwiastkami promieniotwórczymi... Obawiam się, że marnuje pan nie tylko mój czas...
- Bardzo mi przykro, ale właściwie kończymy już, prawda? Hipotezę otrucia uważa pani za absurd, czy tak?
- Naturalnie.
- Dlaczego?
- Musiałabym panu wiele wyjaśnić... A mam samolot o siódmej trzydzieści.
- Odwiozę panią na lotnisko. Po drodze powie mi pani, dobrze?
- Niech i tak będzie.
- Czekaliśmy chwilę w hallu, nim zniesiono jej walizkę; boy niósł ją przed nami do auta, które zaparkowałem z boku na hotelowym parkingu.
- A więc, jak to wyglądało? - odezwałem się, wyjeżdżając z szeregu stłoczonych samochodów; mój był ze wszystkich najstarszy.
- Nie wiem, czy pan wie, kim był doktor Maysters... - powiedziała. Siedziała, patrząc przed siebie; na ruch o tej porze, rosnącego upału, składały się głównie cyrkulacje wielkich kolorowych ciężarówek i małych pick-upów rozwożących towar do sklepów przed ich otwarciem. Jechałem niezbyt szybko; spojrzenie na zegarek przekonało mnie, że mam około piętnastu minut, aby się dowiedzieć od niej tego i owego.
- Był doktorem filozofii... - rzuciłem, zakręcając ostro, tak że przez sekundę oparła się o mnie ramieniem.
- Ach, to stare dzieje... Nie jestem pewna, czy sam pamiętał, z czego się doktoryzował. Nazywaliśmy go - żartobliwie - doktorem ja-

czyn... Był aktywnym wegetarianinem. Nie wiem czy zetknął się pan kiedyś z takim człowiekiem?

- Chyba nie - odparłem, zatrzymując się za rudozłotym pontikiem na skrzyżowaniu 116. ulicy.

- Tu poczekamy trochę - dodałem - ale niech się pani nie przejmuj, zdążymy.

- Matki nie pamiętam, tak wczesnie umarła. On mnie wychował, wspólnie z moim ojcem, było to tak, jakbym miała dwóch ojców - powiedziała cicho Zuzanna. Nie zważała wcale na to, co działo się na ulicy, może nawet tego nie widziała pogrążona we wspomnieniach. - Żeby to choć trochę zrozumieć, musiałby pan zobaczyć, jak żyjemy na tym odludziu. Crisp - tak nazywałam zawsze Maystersa - ma posiadłość nad rzeką. Miał ją... - poprawiła się i wargi jej drgnęły. - Cieszył się, że poszłam na medycynę. Był przekonany, że będę kontynuować jego dzieło. Proszę się z tego nie śmiać.

- Czy chodzi o wegetarianizm? - spytałem. Kolumna aut ruszyła z rykiem, przez chwilę utonęliśmy w błękitnawych spalinach, trudno było oddychać. Mimo upału podniosłem boczne szyby.

- Tak. Był przez wiele lat prezesem wszechamerykańskiego stowarzyszenia jaroszów i masę pieniędzy utopił w propagandzie. Mieć coś takiego, w co się wierzy tak mocno, i móc oddać się temu całym sobą to naprawdę godne pozazdroszczenia...

- Wnioskuje z tego, że pani nie poszła jednak w jego ślady.

- Bo też wiele w tym przesady, chociaż jak zwykle tkwi tam zdrowe ziarno. Mniejsza o to jednak... Crisp był człowiekiem o gołęmbim sercu, nigdy nie stał się zawziętym doktrynerem. Trzeba było widzieć, z jakim uniesieniem, z jakim gniewem mówił o polowaniach, o zabijaniu zwierząt. Był bardzo dobry. Czy zna pan wielu ludzi, o których można by to powiedzieć bez zastrzeżeń?

- Nie - powiedziałem. - Na pewno nie. Nie przypuszczam zresztą, żeby miał osobistych wrogów. Ale tak już jest, że ten, kto ma pieniądze, musi oczekiwać cudzej chciwości, chociażby sam był nawet aniołem.

Znajdowaliśmy się na szosie podmiejskiej. Ruch był stosunkowo niewielki i mogłem rozwinąć sporą szybkość; ryk starego silnika utrudniał rozmowę. Dziewczyna zamilkła. Tam, gdzie wielkie niebieskie strzały zwiastowały zakręt wiodący na lotnisko, zwolniłem. Wielka brama była szeroko otwarta. Zaparkowałem w głębi, pod budynkami kas, wyciągnąłem walizkę Zuzanny i własny mały neseser z głębi auta, po czym zwróciłem się do niej:

- A więc zmienimy teraz środek lokomocji.

- Ja kto zmienimy? Ja zmienię... - odparła, spoglądając w stronę lotniska, skąd płynęły odgłosy grzmiących na pełnym gazie wielkich silników. Wolna przestrzeń pod słońcem oddychała wiatrem. Po raz pierwszy od wielu dni wciągnąłem z ulgą powietrze.

- Nie, oboje - powtórzyłem - bo lecę z panią...

- Pan...?

Cofnęła się o krok.

- Ani śladu zachwytu, szkoda - powiedziałem. - Tak, mam bilet. Zamówiłem go rano telefonicznie. Było jeszcze kilka wolnych miejsc. Czy to panią aż tak dziwi?

- Po co?

- Żeby zobaczyć, jak żyjecie, to pani słowa. Nie jestem, niestety, Wielkim Mózgiem i nie potrafię wydedukować wszystkiego w czterech ścianach. Muszę się napracować, nim zacznę myśleć. Tędy chyba. O, już stoi nasza maszyna...

Poszedłem przed siebie, niosąc obie walizki. Dziewczyna zwlekała sekundę, po czym bez słowa ruszyła za mną. Oddałem brzemień bagażowemu. Po pięciu minutach owalne aluminiowe drzwi się zamknęły i we wnętrzu kadłuba zrobiło się trochę ciemniej. Zamamrotały startery. Zuzanna siedziała obok mnie, przy oknie.

- Czy pani się gniewa? - spytałem cicho, nachylając się ku niej, w chwili kiedy głośnik wymamrotał, że pasażerowie winni zapiąć pasy.

Nie odpowiedziała. Ryk i wibracja przeniknęły kabinę, wielka tafa betonu pod błękitem drgnęła za szybkami, coraz szybciej biegła w tył, aż w jakimś nienazwanym momencie znaleźliśmy się w powietrzu.

IV

Droga szła prerią, prosto jak strzelił. Zuzanna siedziała przy kierownicy. Jechaliśmy z lotniska. Wysoka, spalona słońcem trawa wydawała nagrzaną woń macierzanki. Jak okiem sięgnąć, nie było żadnego domu, niczego, na czym mógłby spocząć wzrok. Szosa wcinała się w płytke wzgórze, przelatowała nad wyschłymi kanionami, raz i drugi mignęły w dali stada pasącego się bydła. Ruch był niewielki, od lotniska minęło nas ledwo kilkanaście aut jadących w przeciwną stronę.

- Już niedaleko - powiedziała Zuzanna.

Lando, które wynajęła na lotnisku, było w niewiele lepszym stanie niż mój wóz pozostawiony w Nowym Jorku. Miało nad nim tę tylko przewagę, że można było zrolować cały dach. Wiatr huczał koło nas i burzył jej włosy. Szosa weszła między dwie ściany wysokich, szarych od kurzu drzew, wygięła się, u jej kresu pojawiły się niewielkie budynki. Przejechaliśmy przez senne, rozpalone słońcem miasteczko, wjechaliśmy na wąski, kręty asfalt i po kilku minutach za oplecionymi żywopłotem ogrodzeniami ukazał się ciężki, ciemny dom zbudowany z drzewa, ze szpiczastym dachem; brama była tylko uchylona, lecz Zuzanna, nie zwalniając prawie, wjechała zręcznie i zatrzymała się na żwirowanym podjeździe. Widać było, że do niedawna ogród był pielęgnowany nadzwyczaj starannie, ale już pierwsze

źdźbła trawy pojawiały się na wykładanych kamiennymi płytkami ścieżkach, a kwiatowe klomby zatracaly pierwotną czystość linii. Unosiły się nad nimi z brzękiem pszczoły. Wysiadłem rozgrzany, nieoczekiwanie zmęczony lotem i jazdą.

– Proszę pozwolić, wniose walizki – powiedziałem.

Potrząsnęła głową.

– Kiedy to nie jest nasz dom.

– Jak to?

– To dom Maystersa. Myślałam, że chce pan go obejrzeć?

– Tak, naturalnie. Ale... czy tam ktoś jest?

– Nikogo nie ma. Ale mam klucze. Co pan właściwie zamierza robić?

– Mieszkał całkiem sam?

– Nie, miał służącego, ale zwolnił go, kiedy miał jechać do szpitala.

– Czy on naprawdę nie miał nikogo? Żadnych krewnych?

– Żadnych. Więc co pan chce robić? – spytała odrobinę niecierpliwie.

– Jeżeli może mi pani powierzyć klucze... – powiedziałem powoli. – Zwróce je, jak tylko się rozejrzę. Nie będę zawracał pani więcej głowy. Proszę mi tylko powiedzieć, jak mam trafić do pani. Oddam klucze i to będzie wszystko.

– Tak? Chce pan potem wracać? Myślałam, że zostanie pan dłużej...

– Nie. Może być pani spokojna – uśmiechnąłem się.

– Boję się trochę – powiedziała, wzdrygnąwszy się lekko jakby od chłodu. – Mój dom? Niecały kilometr stąd, tą samą szosą, czerwony, ceglany z niebieskim dachem. Wie pan – dodała ciszej – nie mogę się w żaden sposób oprzeć przekonaniu, że... ojciec na mnie tam czeka...

Nie odpowiedziałem. Poszukała w torebce kluczy i podała mi je bez słowa. Potem wsiała i odjechała, żwir bryznął spod kół, tak energicznie ruszyła; nie obejrzawszy się nawet, wjechała na drogę i po chwili odgłos jej silnika rozplynał się w pachnącym powietrzu.

Obszedłem najpierw dom dookoła. Okna zamknięte były okiennicami. Z tyłu ciągnęły się długie zagony – kapusta, zwiędłe już całkiem krzaczki szpinaku, selery – i kilkadziesiąt drzew owocowych. Trawa sięgała mi niemal do kolan, od dawna niestrzyżona na gazonach. Wróciłem do drzwi wejściowych, dopasowałem klucz z pęku i wszedłem do ciemnego hallu. W nozdrza uderzyła mnie woń

rozgrzanego, przesiąkniętego kurzem zastalego powietrza. Jeśli dom miał dawniej jakiś własny zapach, wywietrzył już dawno. Obliczyłem w pamięci, że musiał stać pusty co najmniej cztery miesiące. Otworzyłem okiennice. Strop był belkowany, w górę szły kręte, drewniane, ściemniałe od starości schody, na ścianach wisiały pęki zasuszonych ziół, na drewnianych parapetach – całe stosy krętych, dziwno-kształtnych korzeni jałowca.

Wokół drewnianego stołu o wygładzonej użyciem powierzchni stały niskie, czworokątne zydle o rozkraczonych nogach. Dotknąłem powierzchni jednego – wszystkie sprząty pokrywała gruba warstwa mialkiego, nadzwyczaj miękkiego kurzu. Wszedłem na górę, zanurzając się w pachnącej modrzewiem ciemności, stopnie schodów skrzypiały przeraźliwie. Z ciemnego całkiem, wąskiego korytarzyka wiodło na piętrze czworo drzwi. Otwierałem je po kolei, aż odkryłem pokój, który musiał być gabinetem Maystersa. Całą ścianę przeciwokienną zajmował wzniesiony z szarawych cegieł wielki kominek; po jego bokach stały czarne, obłupane z politory, wysokie a wąskie szafki, w kącie – komoda, przy oknie – rzeźbione biurko z balustradką, przy nim ogromny, na śrubie – fotel z płaską skórzaną poduszczyką na siedzeniu. W najciemniejszym kącie odkryłem – dopiero po otwarciu okiennic – bibliotekę; jaskrawe barwy grzbietów książkowych przymglili kurz. Usiadłem przy biurku, strzeliwszy wprzód poduszką o siedzenie, aż wielki obłok kurzu wzniósł się, drżąc w wąskim, pojedynczym promieniu słonecznym, wybrałem klucz z pęku i zacząłem próbować go, wkładając do zamków, ale okazało się, że wszystkie szuflady były otwarte. Jakąś godzinę siedziałem tak, grzebiąc w starych, pedantycznie ułożonych papierach, osobno odkładając te wszystkie, które uznałem za godne przejrzania. Lektura papierów zajęła mi następną godzinę i poczułem głód. Zeszedłem na dół, odnalazłem kuchnię i przetrząsnąwszy ją, znalazłem kilka puszek z konserwami. Oczywiście same jarzyny. Zjadłem trochę zimnej fasoli, siedząc okrakiem na kulawym stołku, popilem ją wodą z kranu i wróciłem na górę. Orientowałem się już trochę. W miarę jak upływał czas, wrażenie, że znałem kiedyś tego człowieka, rosło.

Nieomal połowę biurka zajmowały wielkie herbaria, zielniki, pisma i broszurki o korzyściach jaroszostwa, ale ta monomania nie przeszkadzała mu w zajmowaniu się i innymi rzeczami – wypisywał z czytanych książek godne uwagi sentencje, zebrał też pokaźny fachowy księgozbiór w zakresie hodowli pszczół. Ze szczególną uwa-

gą przejrzałem jego korespondencję, lecz poza listami, jakie wymieniał z członkami stowarzyszenia, nie odnalazłem niczego. Zamykałem już szuflady i porządkowałem papiery, gdy uszu moich dobiegł przeciągły, słaby, nadzwyczaj daleki, ale potężny grzmot. Szyby odpowiedziały ledwo słyszalnym pobrzękiem. Podeszedłem do okna. Niebo pozostawało czyste, słońce schyliło się już wyraźnie ku zachodowi i odmienny rozkład cieni i światła sprawiał, że zaniedbania ogrodu nie dostrzegało się wcale. Czekałem, czy grzmot się nie powtórzy, ale trwała cisza. Nie mogłem sobie wytłumaczyć jego pochodzenia. Czyżby był tu w pobliżu jakiś kamieniołom? O ile znałem te okolice, było to nieprawdopodobne. Od okna raz na nowo ogarnąłem spojrzeniem pokój. Tak, ten wypad okazał się całkowicie jałowy. Cichy, stary, dobroduszny samotnik, miłośnik pszczół i kwiatów, fanatyk swego ogrodu zakochany w kwiatach i rzadkich odmianach jarzyn, hodowca ciekawych okazów, domorosły ogrodnik eksperymentator...

Miałem jeszcze w pamięci fotografie małego albumu – występowały w nim zawsze te same trzy osoby: Maysters, Washer i Zuzanna. Oni obaj prawie nie zmienili się z latami, ona tylko, świadcząc o upływie czasu, z dziecka, jakim przedstawiała ją pierwsze zdjęcia, stała się dorosłą kobietą.

Podświadomie oczekiwałem wciąż następnego grzmotu, ale panowała zupełna cisza. Od czasu do czasu pszczoła wlatywała przez uchylone przeze mnie okno i pragnąc wydostać się na dwór, uparcie, tępo stukala o szybę. Obszedłem cały dom i raz jeszcze powróciłem na górę. Kto mógł go otruć? Oprócz starego Washera i Zuzanny z Maystersem stykał się jeden tylko człowiek, ów służący. Odnalazłem jednak w listach zmarłego kilkakrotnie o nim wzmianki; był to raczej stary przyjaciel rodziny aniżeli służący; liczył teraz sześćdziesiąt z górą lat. Dziwne, że Maysters nic mu nie zapisał. Muszę spytać o to Zuzannę. Dopiero schodząc na dół, uświadomiłem sobie, że nie mam auta, i odczułem to niemal jak kalectwo. Zamknąłem drzwi wyjściowe, przekręciwszy dwa razy klucz w zamku, i poszedłem szosą, na której ruch był teraz większy. Duże samochody, przeważnie station wagony wypełnione sprawunkami, mknęły asfaltem. Kilometr, jaki musiałem przebyć, wydawał mi się w panującym upale nadzwyczaj długi.

Dom czynił wrażenie tak samo pustego jak tamten. Drzwi wejściowe nie były zamknięte. Wszedłem do środka. Na słomkowej barwy

boazeriach leżały wielkie, drżące dyski słoneczne, pełno stało tu kwiatów w doniczkach, zobaczyłem się w głębi, w wiszącym na ścianie lustrze, zjrzałem do kuchni, do małego saloniku, potem wszedłem na górę, zapukałem do jednych i drugich drzwi, ale nikt nie odpowiadał. A jednak samochód stał obok domu, mogłem go nawet teraz zobaczyć z góry, dach, zasunięty, pokrywała warstwa takiego samego szarawego, nawianego wiatrami z pustyni południowej kurzu jak przydrożne drzewa. Pomyślałem, że może weszła do garażu, i zeszedłem na dół, ale zasuwane drzwi zamknięte były na kłódkę z zewnątrz.

Dokąd mogła pójść? Nadzwyczajna była cisza tego miejsca – szosę widziałem i samochody śmigające na niej co chwila, jak migwały kolorowo poprzez szpary liściastego ogrodzenia, ale nie słyszało się ich – odległość była zbyt duża, może zresztą odgłos tłumili wielkie stare drzewa rosnące nieregularnymi kępami w ogrodzie przed domem. – Wyszła do jakiegoś sąsiada, nie chcąc być sama – pomyślałem w końcu.

Położyłem pęk kluczy w widocznym miejscu, w hallu na stole opodał wieszaka, na którym wisiał obok jej narzutki ciemny męski płaszcz. Wyobraziłem sobie wstrząs, jakiego musiała doznać, ujrzawszy ten, jakby w przejściu, na chwilę tylko powieszony, płaszcz ojca, i wyszedłem na dwór.

Neseseer, który miałem w rękę, ciążył mi coraz bardziej. Oprócz tego okropnie chciało mi się pić po pieprznej fasoli. Położyłem go więc na stopniu werandy, wróciłem do środka i napiłem się w kuchni mleka, które stało we flaszkach na parapecie okiennym.

Do lotniska było dobrych piętnaście kilometrów, liczyłem przedtem na to, że Zuzanna mnie odwiezie, ale teraz nie bardzo mogłem zabrać jej auto. Wiedziałem, jak trudno znaleźć na szosie kogoś, kto weźmie do samochodu całkiem obcego człowieka, zwłaszcza w takiej głuszy, i na myśl o rozpalonych kilometrach asfaltu zrobiło mi się gorąco. – No, pójdę już – pomyślałem – nic tu po mnie – ale zamiast ruszyć w stronę furtki, obszedłem dom, aby zająrzeć do rozciągającego się za nim sadu. Wszystkie drzewa miały bielone świeżo pnie, kwiatów było tu też dużo więcej niż u Maystersa; sad był długi, lecz raczej wąski, z lekka pagórkowaty, co nadawało mu jakiś wesoły wygląd. Poszedłem z neseseerem w rękę przed siebie, nie wiadomo po co, bo mogłem objąć go wzrokiem od jednego końca do drugiego i wiedziałem, że Zuzanny w nim nie ma. Jakieś sto kroków od domu sta-

ła niewielka altanka opleciona dzikim winem z wielkim drewnianym stołem dokładnie okrągłym, którego blat obracał się na osi przy poruszeniu jak karuzela; otaczały go wyplatane słomkowe foteliki – ale i tu jej nie znalazłem.

Wracać, muszę wracać – powtórzyłem w duchu i wychodząc, zauważyłem, że wewnątrz agrestowych krzaków ktoś leży. Dostrzegłem tylko plamki ubrania przez liście. Postać ta się nie poruszała, gdy ku niej szedłem, choć gałązki potrząskiwały mi pod stopami. Obszedłem kolczastą gęstwinę i naraz ujrzałem Zuzannę. Leżała twarzą do ziemi, z głową w rękach, bez najsłabszego dźwięku, tylko ramiona podrygiwały jej słabo. Płakała.

Stałem tak dobrą chwilę niepewny, czy nie powinienem odejść, gdy uniosła się nagle na rękach i nie patrząc na mnie, niskim, nie swoim głosem powiedziała:

– Szuka pan mordercy? Co? Mordercy pan szuka?

Nie odpowiedziałem.

– A więc dobrze – to ja – powiedziała. – To ja, słyszy pan? Proszę mnie aresztować. To ja go zabiłam, to ja.

Stałem bez ruchu. Zerwała się z twarzą usmarowaną rozgniecionymi liśćmi i brudem, który rozmazały łzy.

– To ja! – krzyknęła w dziwnym uniesieniu. – Ja go zabiłam! Nie wierzy pan? Nie wierzy pan!?

– Nie – powiedziałem. – Proszę, niech się pani uspokoi.

– Nie, dosyć! Dostyć tego. To ja. Chce pan wiedzieć jak? Nigdy nie chorował, nie wiedział, co to znaczy, nawet głowa go nigdy nie bolała. Ostatniej zimy się jednak przeziębził. Chciałam go wyleczyć, skarżył się, łamało go w kościach, powiedziałam sobie, że to reumatyzm, i chciałam go wyleczyć od razu, szybko i radykalnie nowoczesnymi sposobami, bez tych tam kwiatów lipowych i naparu z malin, w które tak wierzył. Podałam mu dużą dawkę butazolidyny, rozumie pan?

Potrząsnąłem przecząco głową. Musiałem mieć niezbyt rozsądny wyraz twarzy, ale nawet na mnie nie patrzyła. Z zaciśniętymi pięściami, w zbrukanej ziemi i trawą sukience powtarzała, dysząc:

– To ja. To ja. Musiał być uczulony. Butazolidyna wywołuje agranulocytozę. To się zdarza. Nie brał nigdy żadnych lekarstw, więc nie wiedziałam o tym, ale to nie zmniejsza mojej winy. Powiedziałam mu, że to przeze mnie, ale wyśmiał mnie. Wysłałam go do Johnstona, żeby go uratował, ale było za późno. Tak mi napisał: że jest za późno, zaszły zmiany nieodwracalne w szpiku, to leczenie było już tyl-

ko kwestią odraczania agonii transfuzjami. Teraz już pan wie? Już pan wie? Otrułam go, tak, chociaż nie chciałam, ale wyszło na jedno i to samo; ale myśli, że to moja wina, nie chciał dopuścić, czuł, że to nie jest choroba, dlatego tak napisał do ojca. I wszystko, to wszystko stało się przeze mnie. Rozumie pan?

– Mówi pani nonsensy – powiedziałem, a raczej krzyknąłem na nią. – Bzdura i nic więcej! Ile mu pani dała? Na pewno kilka tabletek?! Gdyby nawet był uczulony, co wcale nie jest pewne, nie umarłby od tego. Pani jest lekarzem? Tak? No to proszę mi powiedzieć, jak wielu umarło od tego lekarstwa!

Był to strzał na oślep, bo nic o tym nie wiedziałem, ale – o dziwo! – poskutkował.

Przez długą chwilę mrugała oczami, potem powoli się odwróciła i wydobytą z kieszonki chusteczką zaczęła wycierać sobie twarz. Trwało to dosyć długo, aż postawiłem nesesor na trawniku.

– Tak – powiedziała całkiem cicho, prawie szeptem. – Przepraszam. Zrobiłam przedstawienie. Przepraszam pana. Schowałam się tu umyślnie, chciałam, żeby pan sobie poszedł. Nie chciałam pana widzieć – urwała i dodała ze zdziwieniem, jakby mówiąc tylko do siebie:

– Nie myślałam, naprawdę nie myślałam, że jestem histeryczką.

– Proszę mnie posłuchać – powiedziałem. – W tej chwili nie wierzy pani sama w to, co powiedziała przed chwilą, ale przy następnej depresji znowu zacznie się pani gryźć, i tak w kółko. Z tego wniosek, że jest pani co najmniej tak jak ja, a może jeszcze bardziej zainteresowana wyjaśnieniem, na co i dlaczego zmarł Maysters. Wobec tego zrobię pani następującą propozycję: wrócimy do Nowego Jorku razem.

Wciąż tyłem do mnie z chusteczką przy twarzy potrząsnęła głową, aż zafalowały jej rozpuszczone włosy.

– Tak, powtórzyłem – pojedzie pani ze mną. W tej chwili i tak nie jest pani tu niczym związana, a zmiana środowiska może tylko wyjść pani na dobre. Prawda?

– To nie ma sensu – powiedziała, ale zauważyłem, że w jej głosie było już dużo mniej przekonania.

– To ma więcej sensu, niż się pani w tej chwili wydaje – podjąłem. – Sam bez fachowca nie dam sobie rady. Johnston czy ktokolwiek inny może naopowiadać mi kłamstw, głupstw, których nie będę umiał odróżnić od prawdy. Ponadto nie mam w ogóle dostępu do kliniki, opowiedziałem pani, jak skończyła się ta moja pierwsza próba. Pani natomiast jako najbliższa po ojcu osoba dla Maystersa, a ponad-

to jeszcze jako lekarz będzie miała podwójne prawo rozmówienia się z Johnstonem. Jeśli będzie potrzeba, pójdę do niego z panią...

- Jak to, po tym co ten adwokat...? - zaczęła.

- To nic nie szkodzi. Mogła mnie pani wynająć, a on nie ma prawa dyktować, jakich świadków życzy sobie pani mieć przy rozmowie. Ale aby nadmiernie sprawy nie zaognić, możemy się od tego zrazu wstrzymać. W każdym razie proszę spakować rzeczy, licząc na dłuższy pobyt.

- Nie - powiedziała. - Przecież jest jeszcze pogrzeb. Jutro przyjdzie... trumna. Muszę się tym zająć.

- Ja się tym zajmę - powiedziałem. - Zrobię wszystko, co będzie trzeba. Ale pani pojedzie ze mną do Nowego Jorku. Zgoda? Zostanie pani w hotelu i będziemy się kontaktować...

- To niemożliwe - odparła już z twarzą do mnie. Teraz, gdy cała szminka pofarbowała jej chusteczkę, wyglądała jak zapłakana dziewczynka. - Nie mam pieniędzy, żeby panu zapłacić. Nie byliśmy bogaci. Ojciec nie zostawił nic oprócz tego domu.

- Proszę przestać - powiedziałem surowo. - Nie ma mowy o żadnych pieniądzach czy zapłacie. Czy będzie pani miała tyle, aby mieszkać i żyć jakieś dwa-trzy tygodnie w Nowym Jorku?

- Och, tak, myślę, że tak - odparła. - Ale to nie rozwiązuje sprawy. Nie mogę się zgodzić, aby pan za darmo...

- Proszę mnie to już zostawić. Jestem człowiekiem z gruntu nikczemnym, nisko myślącym i nie wietrząc łupu, nigdy bym się na żadną sprawę nie kusił. Widocznie mam swoje plugawe rachuby.

Uśmiechnęła się. Była naprawdę ładna.

- Namyślę się do jutra.

- Nie. Proszę o odpowiedź natychmiastową. Tak czy nie?

- Wstrętny pan jest. Przecież pan wie, że tak - powiedziała. - I będę pana dłużniczką. Nie lubię tego. Bardzo tego nie lubię.

- Zobaczymy, jak z tym będzie - powiedziałem. - Na razie proponuję, abyśmy wrócili do domu. Żywię cichą, niespokojną nadzieję, że umie pani gotować. Bo ja jeszcze nic dziś nie jadłem, jeśli nie liczyć małej puszki fasoli, ale była zimna, stara, pieprzna i niedobra.

- Umie gotować - powiedziała. - Czy ta pańska propozycja nie jest aby skutkiem głodu?

- Na pewno - powiedziałem. - Czy mam nazbierać jakichś jarzyn?

- Ach nie, nie mogę patrzeć na jarzyny! Zrobię befsztyki...

V

Samolot wylądował w Nowym Jorku o dziewiątej z minutami. Zapłaciwszy należność za parkowanie samochodu, który został na nowojorskim lotnisku, rozstałem się z ostatnimi dolarami pierwszej z pięciu skradzionych setek. Sprawa tych pieniędzy wciąż mi doskwierała, ale nie widziałem jak dotąd żadnego wyjścia, bo byłem bez grosza, dlatego zależało mi na tym, aby jak najprędzej zdobyć książkę, którą Maysters dał pani Cormick. Z portu lotniczego odwiozłem Zuzannę do Majesticu, który był prawie o połowę tańszy od Continentalu, chciałem jej przynajmniej zaoszczędzić wydatków. Umówiłem się z nią na obiad, po czym zatelefonowałem do lecznicy i poprosiłem panią Cormick do aparatu. Było prawdopodobne, że to ona opowiedziała o moich zabiegach doktorowi Johnstonowi – rzecz dziwna raczej, skoro poprzednio szła na rękę Maystersowi, a nie jego wrogom, ale w to, że uczyniła to kelnerka z małego baru nadrzecznego, nie mogłem żadną miarą uwierzyć. Po prostu nie wyglądała mi na to. Zresztą tylko pani Cormick powiedziałem, że jestem siostrzeńcem Maystersa, a ona znów wiedziała zapewne, że nie miał on żadnych krewnych, i to chyba wzbudziło jej podejrzenia.

Powiedziałem jej, że nie mogłem, niestety, przyjść na umówione spotkanie, bo pilna sprawa zmusiła mnie do wyjazdu, i spytałem, czy mogę się z nią zobaczyć.

[Zgodziła się jakoś zbyt skwapliwie i sama zaproponowała, żebym przyszedł prosto do szpitala gdzie będzie mną oczekiwać. Wyraziłem wątpliwość, czy mnie wpuszczą. Zapewniła kilkakrotnie, że uda mi się to bez trudu, bo portier będzie powiadomiony, a może na niego liczyć. Jakiś mi się to wydało niepewne. Obiecawszy jej, że przyjdę za godzinę, pojechałem do biura, spisałem umowę w dwu egzemplarzach między mną a Zuzanną, w myśl której byłem przez nią zaangażowany do „asystowania, prawnej porady i wchodzącej w zakres agencyjnych usług pomocy w dążeniu do stwierdzenia, czy list, jaki wysłał przed śmiercią dr Mayster do jej ojca, posiadał jakiegokolwiek oparcie w faktach”. Następnie pojechałem do hotelu Majestic, gdzie Zuzanna podpisała umowę, wręczyłem jej jeden egzemplarz, a z drugim w zanadrzu udałem się za miasto, na bulwar, przy którym stała lecznica.]

Pani Cormick zgodziła się skwapliwie.

– Ale nie tam, gdzie przedtem – powiedziała. – Jutro po południu będę w Newhill u znajomych, Olseynów.

– Jak to? – zdziwiłem się. – I doktor Johnston pozwala pani opuścić lecznicę?

– W drodze wyjątku – powiedziała. – To są moi dalecy krewni. Może pan tam przyjechać? 118. szosą, aż do dziewięćdziesiątego trzeciego kamienia milowego, stamtąd prowadzi droga prywatna prosto do Olseynów.

Powiedziałem, że przyjadę, i na tym skończyła się rozmowa.

Pojechałem do biura i spisałem w dwu egzemplarzach umowę, w myśl której byłem przez Zuzannę Washer zaangażowany do „asystowania, prawnej porady i wchodzącej w zakres agencyjnych usług pomocy w dążeniu do stwierdzenia, czy list, jaki wysłał przed śmiercią dr Mayster do jej ojca, posiadał jakiegokolwiek oparcie w faktach”, po czym pojechałem do hotelu Majestic, gdzie Zuzanna podpisała umowę. Wręczyłem jej jeden egzemplarz, a drugi zachowałem sobie. Zeszliśmy potem na obiad do restauracji hotelowej. W pewnej chwili przyszła mi równie prosta, jak nieoczekiwana myśl.

– Pani wie, o jakiej książce pisał Maysters ojcu w swoim liście, prawda?

Przestała jeść i spojrzała na mnie.

– Wiem – odparła. Jakiś czas trwało milczenie.

– Czy powie mi pani, co to za książka?

Nie odpowiedziała od razu

- Musiałabym zyskać pewność, że w lecznicy stało się z nim coś złego - odparła powoli. - W końcu mimo wszystko to mogło być tylko jego urojenie pod koniec choroby.

- Rozumiem - powiedziałem. - W takim wypadku co należałoby według pani zrobić z tymi pieniędzmi?

- Zwrócić, przekazać je fundacji.

- Zgoda - powiedziałem. - Ale samo dochodzenie tego, co naprawdę się stało, musi pochłonąć określoną sumę. Gdybym był Krezusem, wziąłbym te wydatki na siebie, ale, niestety, nie jestem.

- Namyśle się i odpowiem panu jutro. Dobrze?

- Niech i tak będzie - odparłem. - Ciekawe, że wszyscy grają ze mną na zwłokę, jak gdyby jutrzejszy dzień miał być bardziej rozumny od dzisiejszego.

Może nie powinienem był tego powiedzieć, bo oboje mieliśmy jakieś zwarzone humory i Zuzanna natychmiast po obiedzie oświadczyła, że pragnie być przez resztę dnia sama.

Pożegnawszy się z nią, powiedziałem, dokąd udaję się nazajutrz i że w razie potrzeby zatelefonuję do niej. Pojechałem potem do zoo i siedziałem dobrą godzinę przed klatką małp człekokształtnych, co czynię zwykle, kiedy nadojedzą mi ludzie. U fontann w pobliżu basenu z fokami panował wcale miły chłód, pod wieczór zaś zbudził się lekki wietrzyk i aura stała się całkiem miła. Z zapadnięciem zmroku wróciłem do miasta, wpadłem do baru naprzeciw mego biura, po czym pojechałem do redakcji; Brauner miał drugą noc dyżur z rządu, chociaż nie spodziewałem się, że się czegoś od niego dowiem w mojej sprawie.

Zastąpiłem go podnieconego i zalatanego - miał bombę do porannego numeru i od nowa łamał całą pierwszą stronę. W parku nadrzecznym patrol policyjny znalazł zwłoki uduszonej dziewczyny - wyglądało to na czyn jakiegoś zbrojnego. Wiadomość przyszła dosłownie na pięć minut przed moim przybyciem. Oczywiście niepodobna było rozmawiać z nim o czymkolwiek innym, pożegnałem go więc szybko i wróciłem do siebie. Kiedy wracałem z łazienki do pokoju, dał się słyszeć słaby, odległy grzmot, wyjrzałem przez okno. Na zachodnim niebie pulsowały mleczne błyskawice, burza obchodziła miasto dalekim łukiem. Przypomniało mi to ów dziwny, przeciągły łoskot, jaki usłyszałem w starym domu Maystersa, i postanowiłem spytać nazajutrz Zuzannę, czy zna jego przyczynę.

Spałem długo, zapuszczone rolety odcięły słońce od mego pokoju i obudził mnie dopiero martwy upał południa. Zatelefonowałem do Zuzanny, żeby zawiadomić ją, że wyjeżdżam do Newhill, lecz nikt nie odpowiadał, wyszła widać z hotelu.

Przejechałem ledwo przed śródmieście, gdy silnik zaczął przerywać. Zatrzymałem się przy niewielkim garażu, była tam i pompa benzynowa. Poprosiłem, żeby zajrzeli pod maskę, a sam poszedłem napić się czegoś zimnego, stąpając z obrzydzeniem po mięknącym na masło asfalcie.

Kiedy wróciłem, usmarowany mechanik powiedział, że wszystko jest już w porządku. Kupiłem dwadzieścia litrów benzyny i pojechałem I18. autostradą na południe. Ruch był zadziwiająco słaby, a kiedy przy dziewięćdziesiątym trzecim kamieniu skręciłem w ową prywatną drogę obsadzoną dwoma szpalerami starych kasztanów włoskich, znalazłem się w zupełnej pustce. Po jakimś kilometrze dojechałem do zamykającej całą szerokość drogi bramy z siatki rozpiętej na aluminiowych rurkach; była tylko przymknięta, otworzyłem ją więc, wjechałem i pojechałem dalej. Droga wiała się pięknie pomiędzy niewielkimi pagórkami, korony kasztanów splatały się w szumiący, liściasty dach nade mną. Tuż przed kolejnym zakrętem silnik zaczął znowu przerywać, dodałem gazu, ale zrobiło się jeszcze gorzej. Zaczął strzelać, raz za razem, ledwo ciągnąc. Zły uderzałem stopą w akcelerator, tak że przejechałem zakręt z malejącą szybkością, aż na koniec niemal się wlokłem. To było moje szczęście, bo tuż za nim ujrzałem cieniutką kreskę w poprzek drogi, mniej więcej na wysokości maski samochodu. Zatrzymałem się o kilkanaście kroków od niej i wysiadłem. Była to stalowa lina rozpięta między pniami posępnych drzew. Gdybym wyjechał zza zakrętu sześćdziesiątką, przecięłaby na pół samochód wraz ze mną, bo była umocowana z takim wyrachowaniem, by trafić wóz tuż nad maską, przy podstawie przedniej szyby. Zrobiło mi się gorąco. Cofnąłem się szybko i rozejrzałem, ale panowała cisza – i nikogo nie zobaczyłem. Kiedy się przekonałem, że w pobliżu nie ma nikogo, spróbowałem rozsypać węzły, ale okazało się to niemożliwe – były zaciągnięte z nadzwyczajną siłą. Wziąłem z auta młotek i tłukłem tak długo w linę, aż obsunęła się i spoczęła na samej nawierzchni drogi, przejechałem wtedy przez nią ostrożnie. Jakieś dwa kilometry dalej droga kończyła się nad brzegiem małego jeziora. Ani śladu jakiegokolwiek domostwa; asfalt urywał się u miniaturowej przystani z małym, drewnianym baraczkim o wyrwa-

nych drzwiach – zjrzałem do środka, było tam pusto, tylko pod ścianami wałało się kilka ułamanych wioseł.

Teraz niepodobna już było wątpić, że zacna pani Cormick działała z polecenia Johnstona. Usiłował mnie najzwyczajniej ukatrupić – on sam czy jego muskularni pomocnicy? W gruncie rzeczy wychodziło to na jedno i to samo. Nawróciłem i pojechałem ku autostradzie. Lina leżała na asfalcie, tak jakem ją zostawił. Przy pierwszej restauracji, jaka się nawinęła, stanąłem, kazałem sobie podać coś zimnego do picia i namyśliłem się solidnie, co począć dalej.

Bardzo brzydko poczynął sobie doktor Johnston. Wyglądało na to, że jestem na gorącym tropie – a doktor sądzi, iż wiem znacznie więcej, niż w rzeczywistości wiedziałem. Żalowałem tylko, że Zuzanna nie mogła zobaczyć tej liny – przypuszczam, że zmieniłaby zdanie o tym znakomitym eskulapie.

Tymczasem było tak, że wciąż przychodziłem do niej, aby opowiedzieć o okropnych opalach, w jakie się pakuję, usiłując zbadać tę sprawę, ale w gruncie rzeczy nie posuwałem się nawet o włos. Nie знаła mnie – dlaczego więc miała mi bezgranicznie ufać? Poza tym była jeszcze historia tych nieszczęsnych 500 dolarów, z których zostały mi trzy, i to nadszarpnięte, setki. Kto wie, czy gdybym mógł jakoś zwrócić całą tę sumę, nie cisnąłbym wszystkiego w diabły – rzadko kiedy zdarzało się, że ktoś z taką namiętnością usiłował wykreślić mnie spośród żywych – ale wówczas był przynajmniej ktoś, kto mi solidnie płacił za ryzyko. Okropnie mi się to wszystko nie podobało.

[Byłem na przedmieściach, gdy dogoniły mnie chmury i na wyschłych brukach pojawiły się pierwsze, wielkie, ciemne rozbryzgi deszczowych kropel. Dojechałem do biura w ulowie szumiącej jak morze; nalało mi się trochę za kołnierz, bo dach auta był nieszczęsny.

Zatelefonowałem z biura do Zuzanny. Wciąż była nieosiągalna. Skończyłem ostatnią butelkę ze schowka w biurku, ale nie poprawiła mi ani trochę humoru. Jediną rozsądną rzeczą, jaką zrobiłem w tym dniu, był postępek ostatni: wyczyściłem uczciwie automatyczny pistolet i postanowiłem nosić go odąd stale.]

W najciemniejszym kącie widniało na wysokości głowy coś ciemnego – aparat telefoniczny. Nakręciłem numer lecznicy.

- Z doktorem Johnstonem - powiedziałem, gdy odezwał się ko-
bięcy głos.

- W jakiej sprawie?

- Proszę mnie szybko połączyć, doktor czeka na mój telefon - rzu-
ciłem niecierpliwie. Usłyszałem słaby trzask i przez chwilę stałem
z szumiącą przy uchu ciszą, w której rozległ się daleki głos męski.

- Kto mówi?

- Doktorze, nie udało się - powiedziałem, zniżając głos niemal
do szeptu. - On zauważył i stanął. Co robić?

- Co to ma znaczyć? Zwariowałaś chyba! Jak śmiesz telefonować!
- wybuchnął głos w słuchawce. To mi wystarczyło. Powiesiłem ją
i wyszedłem na dwór.

Nie wiedziałem, jak szybko wysłannik doktora skomunikuje się
z nim, chyba nie prędzej niż za godzinę, bo do lecznicy na pewno nie
pozwolił mu przychodzić. Było wcale prawdopodobne, że Johnston
pierwszy spróbuje go odszukać. To była moja szansa. Miałem szczę-
ście, udało mi się na przerywającym wciąż silniku dociągnąć do ma-
łego garażu na przedmieściu. Zostawiłem swój wóz i wynająłem in-
ny - małego, czarnego buicka. Model był stary, z niskimi szybami, ale
taki mi właśnie odpowiadał; nie siedziałem w nim widoczny ze
wszystkich stron niczym w akwariu. Jakieś trzysta metrów od szpi-
tala przystanąłem opodal grupy bawiących się chłopców. Zawoła-
łem jednego, może dwunastoletniego, i spytałem, czy chce zarobić do-
lara. Chciał. Powiedziałem, żeby pobiegł do szpitala i spytał w por-
tierni, czy doktor Johnston jest jeszcze w szpitalu.

- Ale nie mów, kto ci kazał się pytać, słyszysz! - rzuciłem za nim,
bo z miejsca pognął w stronę białego budynku. Czekalem nie dłużej
niż trzy minuty. Chłopiec wrócił zadyszany z wiadomością, że dok-
tor jest w lecznicy. Dałem mu dolara, pojechałem prosto i stanąłem
na małym parkingu po przeciwnej stronie bulwaru. Słońce nachyli-
ło się ku zachodowi, ale było jeszcze wysoko. Czarny samochód na-
grzewał się, że ledwo dyszałem, a bałem się z niego wysiąść, bo John-
ston mógł wyjść w każdej chwili. Zdjąłem marynarkę i gdyby nie to,
że obicia siedzeń piekły żywym ogniem, ściągnąłbym chyba z siebie
i koszulę. Najgorsze było to, że nie wiedziałem, jak on wygląda; pa-
ni Cormick powiedziała, że jest nadzwyczaj gruby, ale w szpitalu
mógł pracować inny gruby lekarz, a poza tym kto wie, czy nie skła-
mała. Po niecałej godzinie tej tortury, kiedy język przysechł mi już
na dobre do podniebienia, na tle szklanych drzwi wyjściowych uka-

zała się niska, korpulentna postać w białym ubraniu tropikalnym. Zapuściłem silnik. Grubas wsiał do szarego cadillaca i wyjechał z rzędu aut. Ruszyłem za nim.

Jak długo jechaliśmy bulwarem, zachowywałem wielki dystans, dopiero przy pierwszych światłach, w tłoku, odważyłem się podciągnąć do niego na kilkanaście metrów. Samochód mój miał tę wadę, że staroświeckim kształtem wyróżniał się spośród innych, bałem się więc wisieć za nim zbyt blisko. Tak przejechaliśmy przez 108. i 90. ulicę, po czym cadillac skręcił w stronę zachodniego przedmieścia Torkcorcktramps; nagle, gdy najmniej się tego spodziewałem, wjechał w lukę w rzędzie parkujących samochodów i stanął. Musiałem, chcąc nie chcąc, przejechać ze sto metrów, zanim udało mi się zaparkować, tył wozu zatrzymał się naprzeciw pożarowego hydrantu – mogło mnie to kosztować piętnaście dolarów, ale nie dbając o to, poszedłem jak najszybciej z powrotem. Wydało mi się, że w odległej bramie po przeciwnej stronie ulicy mignęła mi, znikając w niej, biała sylwetka. Przyspieszyłem kroku. Był to sześciopiętrowy, stary, obdrapany dom o sieni cuchnącej kwaśnymi wyziewami pralni. Gdzieś, jakby w podziemiu, wyły przeciągle wentylatory.

Sień była ciemna, że ledwo dostrzegłem majaczące poręcze. Stałem na pierwszym stopniu – ktoś wchodził na górę po trzeszczących schodach. Biorąc po dwa i starając się nie czynić hałasu, pomknąłem w ślad za nim.

Czułem się trochę nieswojo, bo nie miałem broni, a Johnston i jego pomocnik (jeśli był tylko jeden!) byli zdecydowani na wszystko; zebrałem na to dowody. Usłyszałem powtarzające się pukanie do drzwi, które skrzypnęły otwarte, ktoś się odezwał:

– Co, pan...? – i wszystko przypieczętowało głuche trzaśnięcie.

Oceeniłem, że było to na kondygnacji nade mną; już nie dbając o skrzypiące schody, wbiegłem na górę. Widniało tam dwoje drzwi – na jednych była wizytówka „C.G. Chalmers”, drugie nie nosiły żadnego napisu. Usiłowałem uzmysłwić sobie, z której strony dobiegł mnie głos, kiedy stałem o piętro niżej, ale nic z tego nie wychodziło. Wybrałem drzwi bez wizytówki i zapukałem dokładnie tak samo jak Johnston – dwa razy z pauzą i znowu dwa razy, a potem znacznie mocniej jeszcze raz. Wewnątrz nic się nie poruszyło. Cofnąłem się tak, aby nie można mnie było zobaczyć przez judasz; otoczenie było ciemnawe. Z wysoka przez okno o szybach tak brudnych, jakby umyto je w dniu wystawienia tej rudery, padało nieco szarawego światła.

*[Usłyszałem tuż za sobą skrzypnięcie tak słabe, że nie do-
szłoby mej świadomości gdybym nie wsłuchiwał się w ciszę
z takim natężeniem. Nie pozwoliłem sobie na luksus obejrze-
nia w tył, ale od razu siadłem i w tym momencie poczułem,
że głową zawadzam o coś – to były nogi człowieka, który stał
za mną, musiał wyjść z tych drugich drzwi z wizytówką
„Chalmers”. Powietrze aż świsnęło pod ciężarem, który je prze-
ciął w jego rękach. Sekunda, a byłby mi chyba rozłupał głowę.
Ale i teraz nie było mi nazbyt dobrze, bo przewrócił się
na mnie i puściwszy ten ciężar, którym chciał mnie uniesz-
kodliwić, z całej siły chwycił mnie za nogi, a kolanami jął ob-
rabiać moją twarz przyduszoną już do kamiennych płyt.
Wszystko to działo się w zupełnym milczeniu. Był okropnie
ciężki – ważył chyba kilka cetnarów. Nie mogłem zrzucić go
z siebie i obawiałem się o głowę i oczy – bo kopał na oślep jak
szalony. Największym wysiłkiem udało mi się skrócić ciało
na bok. Było to idiotyczne, bo nawzajem niewiele mogliśmy
sobie teraz zrobić; szamotaliśmy się dalej w milczeniu, aż
pomyślałem, że czeka widać na pomoc – może samego John-
stona, więc złapałem jego łydkę w polowie i oparłszy na głowie,
zacząłem wylamywać mu kolano; nie był to chwyt cał-
kiem poprawny, ale poskutkował, bo przeciwnik mój zawył
nagle; wzmocniłem chwyt, poczułem, że puszcza moje nogi,
i raz jeszcze nacisnąłem z całej siły, aż coś chrupnęło tuż
przy mojej głowie. Krzyknął okropnie, wtedy puściłem go
i odskoczyłem, zrywając się na równe nogi. W momencie kie-
dyśmy się rozłączali, coś białego przemknęło bokiem
przy ścianie i schody rozłomotały się od pospiesznej ucieczki;
przez sekundę gotów byłem biec za Johnstonem, bo to on
na pewno uciekał, ale pomyślałem, że zawsze go mogę prze-
cież odnaleźć. Czekalem, stojąc, pochylony do przodu, co po-
cześnie człowiek na ziemi. Stękał. Powoli usiadł, liczył chyba
pięćdziesiątkę, był krępy, wielki, ale i tłusty, ze swoją bladą
łysiną i przekrwionymi oczkami wyglądał na portiera ja-
kieś spelunki czy wykidajkę nocnego lokalu; najwidoczniej
nie wiedział, co ma począć, bo postękiwania jego były coraz
wyraźniej udawaniem.*

– No, jazda! – powiedziałem. – Wstawaj.

– Nie mogę... – wystękał.

– Możesz. Pokazać ci, że możesz?

– Niech pan sobie idzie. To, tego, pomyłka była – wychrypiał.

– Najpierw porozmawiamy – odparłem. – Ale nie tu. No!

Pochyliłem się nad nim. Mrugał rozpaczliwie, jego ręka sunęła w tył po podłodze, leżał tam owiązany szmatą ciężarek, który rzucił przedtem.

– Bez głupich kawałów – powiedziałem. Wyciągnąłem rękę, chwyciłem go za kłapy i krzyknąłem, bo coś sparzyło mi jakby wszystkie palce. Poderwałem rękę, z której tryskała krew; musiał użyć żyłki.

Wpadłem we wściekłość. Udałem, że chcę go kopnąć, a kiedy spróbował złapać moją nogę, palnąłem go z lewej w twarz. Głowa poleciała mu w bok i przez ułamek sekundy jego broda była doskonałym celem.]

Miałem przy sobie mały stetoskop ze wzmacniaczem, który sam zmajstrowałem z aparatu, jakiego używają głusi. Przyłożyłem do drzwi gumową ssawkę, a kiedy przylgnęła do politury, włożyłem drugi, dyndający wolno koniec do ucha. Dobięł mnie pod postacią nieartykułowanego mrużenia daleki odgłos rozmowy. Oderwałem mikrofon od deski i przyłożyłem go do dziurki od klucza. Mrużenie stało się głośniejsze, ale w dalszym ciągu nie rozróżniałem słów. Wsłuchiwałem się, jak mogłem, starając się jednocześnie łowić każdy szmer ze strony klatki schodowej.

– Kiedy mówię panu, że to nie ja! – dobiegły mnie głośniejsze, krzykiem prawie wypowiedziane słowa. Odpowiedzią było znowu niewyraźne mrużenie. Nagle się urwało. Ustało. Odjąłem mikrofon od zamka i pospiesznie wszedłem kilkanaście stopni wyżej, aż upewniwszy się, że w panującym mroku nikt mnie nie zobaczy, przystanąłem przy ścianie. Odgłosy rozmowy się zbliżyły. Przechylając się przez poręcz, dostrzegłem z góry białą odzianą postać Johnstona, który tyłem do mnie, stojąc zwrócony do człowieka za drzwiami, w głębi mieszkania mówił:

– A więc jutro. Ale bez żadnych głupstw!

Cofnąłem się. Rozległo się słabnące stapanie. Gdy ucichło, zeszedłem na piętro i zapukałem do drzwi dokładnie tak samo, jak przedtem zrobił to Johnston: dwa razy, pauza, dwa razy i jedno mocniejsze stuknięcie. W głębi rozbrzmiały kroki.

Drzwi się otwarły. Zobaczywszy mnie, ten człowiek – widziałem tylko bladą plamę jego twarzy – gwałtownie się cofnął i chciał zatrzasnąć drzwi, ale wstawiłem już do środka nogę. Przez sekundę napieraliśmy obaj na drzwi i zrobił jakiś ruch, który ledwo ułowilem w ciemności.

– Chcesz dostać w brzuch? – powiedziałem cichym głosem z ręką w kieszeni. Nie miałem w niej nic. Cofnął się powoli. Wszedłem do środka, zamknąłem za sobą drzwi i pchając go z wolna przez

krótki, ciemny korytarzyk, wszedłem do zagraconego pokoju. Tu dopiero mogłem mu się przyjrzeć.

Mógł mieć ze czterdzieści lat albo i pięćdziesiąt – był wysoki, chudy, ugięty w barach, z twarzą portiera nocnej spelunki, teraz nieruchomo wpatrzoną we mnie jakby w dziwnym zachwyceniu. Powietrze pokoju trąciło nie tylko stęchlizną, wisiał w nim ledwo uchwytny, słodkawy posmak. Marihuana!

Kiedy wyjąłem z kieszeni pustą rękę, uderzył mnie, a raczej usiłował to uczynić, ale ruchy miał tak zwolnione, że bez najmniejszego trudu zrobiłem unik i dałem mu otwartą ręką w twarz; policzek huknął jak wystrzał. Zatoczył się i łapiąc równowagę, upadł na krzesło. Nogi chodziły mu jak pijanemu. Poszukałem oczami zlewu, ale nie było go w pokoju, wyszedłem więc i natrafiwszy na boczne drzwi w korytarzyku, wszedłem do małej, jeszcze ciemniejszej kuchni. Natoczyłem wody do jakiegoś garnka, wróciłem do pokoju – siedział wciąż tak samo, patrząc na mnie głupawo wytrzeszczonymi oczami – i chlusnąłem mu w twarz wodą. Wzdrygnął się, ale nie wstał.

– Jak się nazywasz? – krzyknąłem. Zdarzało mi się już mieć do czynienia z narkomanami.

– Pete – powiedział bełkotliwie. – Czego chcesz?

– To ty rozpiąłeś linę między drzewami, co?

– Ja... ką linę? Odejdź.

Oblałem go resztą wody. Chciał pochwycić garnek, ale nie udało mu się. Musiałem się przemóc, żeby go uderzyć, ale zrobiłem to; ta kreatura nie zasługiwała na litość. Jęknął.

– To ty? Mów!

– Ty parszywy bydlaku!

Zerwał się, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i musiał się oprzeć o stół. Trąciłem go w piersi tak, że na powrót usiadł, a raczej upadł na krzesło. Przyciągnąłem sobie drugie, wyjąłem notes i co chwila spoglądając na niego poprzez stół, zacząłem pisać:

„Niniejszym zeznając, że w dniu 17 lipca na polecenie doktora Edgara Johnstona dokonałem skrytobójczego zamachu na życie Pata Roberta Cavisha, rozpinając linę stalową między drzewami na drodze prywatnej przy 93. kamieniu szosy 118”.

– Podpisz to – powiedziałem, podsuwając mu otwarty notes.

– Nie – warknął. Głowa chodziła mu na obie strony.

– Podpiszesz.

– Nie podpiszę.

- Nie podpisiesz?

- Nie.

Rozejrzałem się. Na stole leżało blaszane pudełko; papier, w który było zawinięte, spoczywał zmięty obok. Wyciągnąłem po nie rękę, usiłował mi przeszkodzić, ale byłem szybszy. W środku leżały zrobione na maszynie papierosy, jakaś setka sztuk. Powąchałem je, nie spuszcżając go z oka. Marihuana.

- Zabiorę ci, jeżeli nie podpiszesz - powiedziałem, robiąc taki ruch, jakbym chciał wsunąć do kieszeni pudełko. Rzucił we mnie pustym garnkiem. Uchyliłem się. Garnek huknął o ścianę, a on skoczył ku mnie - ledwo zdążyłem się uchylić. Uderzyłem go raz, ale tak mocno, jak mogłem - upadł na podłogę, aż kurz powstał z niej obłokiem.

- Podpiszesz? - spytałem, kiedy zaczął gramolić się na czworaka. Nie odpowiedział.

- Oddam ci papierosy - powiedziałem. Wstał i podszedł do mnie. Patrzył mi w twarz. Widziałem, że jeśli nie ustąpię, w końcu podpisze mi ten świstek, ale miałem już tego dość. Położyłem notes na stole.

- Podpisz - powiedziałem.

- Oddaj - warknął spuchniętymi wargami.

- Podpisz, to oddam.

Nie czytając tego, co było na kartce, podarł ją.

- Ach, ty draniu - powiedziałem łagodnie i zamierzyłem się, ale coś nie pozwoliło mi uderzyć. Rzuciłem puszkę na stół.

- Jeżeli jeszcze raz wejdiesz mi w drogę, pożałujesz - powiedziałem, schowałem notes i wyszedłem, nie patrząc na niego. Klatka schodowa dalej była pusta. Miejsce na ulicy, gdzie parkował przedtem samochód Johnstona, zajął duży czerwony chrysler. Wsiadłem do mego buicka i odjechałem w jak najgorszym humorze.

Z biura zadzwoniłem do hotelu Zuzanny, ale nie było jej jeszcze; przejrzałem gazety, które przyszły poranną pocztą - sprawa dziewczyny zamordowanej nad rzeką zajmowała pierwsze strony pod olbrzymimi nagłówkami. Wziąłem tusz i zrobiło mi się trochę lżej na sercu, o tyle przynajmniej, że przestałem przeklinać chwilę, w której zdecydowałem się wziąć w ręce tę wstrętną sprawę; kto wie, czy nie rzuciłbym jej nawet teraz, gdyby nie ukradzione Washerowi dolary - musiałem je przecież w końcu oddać.

Po godzinie raz jeszcze zatelefonowałem do Majesticu. Zuzanna już wróciła. Powiedziałem, że chcę się z nią widzieć i że przyjadę pod hotel. Niebo wciąż było czyste, ale w prześwitach najszer-

szych ulic widziałem, jadąc, nadciągające ze wschodu rude, burzowe chmury; powietrze było tak suche, że zdawało się drżeć wprost od elektryczności. Każdy ruch przyprawiał o poty. Zuzanna wyszła niemal natychmiast spod daszku u wejścia hotelowego, kiedy się tam zatrzymałem. Przejechaliśmy kilka ulic, zanim przerwałem milczenie i opowiedziałem jej po kolei o dzisiejszych moich przygodach.

- Czy teraz powie mi pani, co to za książka? - zakończyłem moją relację.

- To wiersze Tennysona - powiedziała po prostu.

- Dziękuję. Pójdzie pani ze mną do banku?

- Nie, wolę żeby pan sam.

- Dobrze.

Zwolniłem, przejeżdżając koło restauracji na rogu Mirdyfirdy Ave, i spytałem, czy ma ochotę zjeść coś ze mną. Zgodziła się. Zaparkowałem więc o jedną przecznicę dalej i wróciliśmy pieszo. Kończyliśmy właśnie kolację, kiedy zaczęły padać pierwsze, olbrzymie, rozpryskujące się na suchym asfalcie krople deszczu. Kelnerzy zakrzętnęli się koło stolików, wnosząc je do wnętrza lokalu, a my pobieглиśmy do auta.

Deszcz prażył ciepłymi strumieniami, jakby niebo zamieniło się w dziurawy ocean, kiedy przemoczeni do nitki dopadliśmy samochodu.

- Muszę wrócić do hotelu, wyglądam jak straszdydło - uśmiechała się Zuzanna. I ja się uśmiechałem, wdychając z rozkoszą pachnące deszczem powietrze. Ulewa była taka, że auta sunęły niemal krokiem, a wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody z szyb.

Odwiozłem Zuzannę do hotelu, a sam wstąpiłem do położonej obok księgarni i spytałem o wiersze zebrane Tennysona, wydanie z 1911 roku.

- Ach, proszę pana, to rzadkość - powiedział księgarz, zasuszony człowieczek w srebrnych binoklach. I on uśmiechał się; deszcz szumiał na ulicy szarą zasłoną.

- Czy może mi się pan postarać o ten tomik?

- Naturalnie, ale to by potrwało... Nawet mam tu egzemplarz, niestety, odłożony już dla stałego klienta. Pan rozumie...

- Ależ rozumiem, rozumiem - odparłem pospiesznie. - Czy mógłby mi go pan pokazać...?

- Proszę bardzo...

Pokuśtykał w głąb sklepu i po chwili wrócił z oprawnym w podniszczoną skórkę tomem o złożonych, cienkich kartkach.

Otwarłem go i przeczytałem pierwszy werset: „Białogrzywe, w odmętach nienazwanych morze”.

Podziękowałem mu i wyszedłem tak szybko, że został z Tennysonem w rękę, patrząc za mną rozszerzonymi od zdumienia oczami. Już w aucie spojrzałem na zegar: bank zamykano za jedenaście minut. Na szczęście deszcz poważnie zmniejszył ruch w śródmieściu, tak że stanąłem przed wejściem, mając jeszcze sześć minut. Co prawda parking przeznaczony był tylko dla samochodów pracowników, ale pomyślałem, że policjanci pochowali się przed ulewą. Zresztą, wracając z 10 000, warto zapłacić mandat.

Urzędnik w okienku skierował mnie do działu depozytów. Tam młody człowiek w okularach wysłuchał mnie i poprosił o chwilę cierpliwości, po chwili wrócił z drugim, starszym urzędnikiem. Raz jeszcze powtórzyłem moją historyjkę i zacytowałem hasło.

Urzędnicy patrzyli na mnie bez ruchu.

– O co chodzi, panowie? Co to ma znaczyć? – spytałem zdziwiony.

[– Mój panie, bardzo mi przykro – rzekł starszy. – Ale te pieniądze zostały już podjęte.

– Co? Nie może być!

– Zapewniam pana.

– Przez kogo?

– Tego nie wiemy, depozyt był na okaziciela znającegogo hasło. A zresztą, nawet gdybyśmy go znali... – urwał.

– Rozumiem, tajemnica – mruknąłem – Ale... kiedy to było? Przynajmniej to może mi pan powiedzieć?

– Pierwej musiałbym się zorientować, do czego potrzebna jest panu ta informacja.

Wydjąłem portfel.

– Jestem prywatnym detektywem. Działam z ramienia córki najbliższego przyjaciela zmarłego doktora Maystersa – wyjaśniłem, pokazując mu moją licencję w celofanowej szybce. – Czy to wystarczy?

– Tak. Depozyt podjęty został 18 kwietnia tego roku.

– Jeszcze jedno... – poprosilem. – Czy może mi pan przynajmniej określić pleć tej osoby?

– Niestety.

– To twierdzenie głoślowne, ale zapewniam pana, że dokonane zostało nadużycie. Może mi pan przynajmniej odpowie na pytanie takie: Czy to była kobieta? Tak czy nie?

Uśmiechnął się lekko.

– Kobiety tak rzadko czytają Tennysona

– Dziękuję panu bardzo...

Wyszedłem na ulicę. Deszcz przestał prawie padać. Koło mego auta stał policjant. Woda ściekała mu po pelerynie. Zsalutował.

– Dobrze, dobrze – powiedziałem. – Ile?

– Piętnaście dolarów...

– Moje interesy! – mruknąłem, płacąc, wsiałem i odjechałem do hotelu Zuzanny.]

– Mój panie – rzekł starszy – przykro mi, ale... pan Maysters nie składał u nas żadnego depozytu...

– Co pan mówi!?

– Mogę to tylko powtórzyć.

– Może myli się pan – spróbowałem już bez nadziei. – Wpłata miała zostać dokonana w drugiej połowie kwietnia tego roku...

– Pan Maysters miał u nas konto – odparł urzędnik, patrząc na mnie jakby odrobinę podejrzliwie – które stało się po jego śmierci częścią masy spadkowej. Ale nie dokonał żadnego przelewu.

– Przypuszczam, że to był raczej czek – mruknąłem.

– Czek...?

– Tak! – nawiedzony nagłą myślą wyjąłem z kieszeni portfel.

– Proszę pana, jestem detektywem. Działam z ramienia córki najbliższego przyjaciela zmarłego doktora Maystersa – wyjaśniałem szybko, pokazując moją licencję w celofanowej szybce. – Doktor Maysters zamierzał dla pewnego specjalnego celu otworzyć u panów depozyt na okaziciela – mogę w każdej chwili przedstawić odręczny jego list do ojca mojej klientki, w którym powiadał go, że to już uczynił. Przypuszczam, że osoba, którą wysłał z czekiem na okaziciela, aby podjęła tę sumę i złożyła ją w umownym depozycie, sprzeniewierzyła pieniądze... Dlatego proszę, aby pan zechciał sprawdzić, czy taka kwota została podjęta z konta w drugiej połowie kwietnia...

– Nie wiem, czy mogę to zrobić – powiedział z wahaniem.

– Ależ nie pytam pana o nazwisko tej osoby, tylko o to, czy w ogóle kwota ta została podjęta!

Spojrzał raz jeszcze na moją licencję, na mnie i mrugnawszy parę razy powiekami, odszedł. Po chwili wrócił.

– Tak – powiedział. – To pańskie przypuszczenie jest słuszne...

- Dziękuję - powiedziałem i wyszedłem na ulicę. Deszcz przestał prawie padać. Przy moim buicku stał policjant. Woda ściekała mu po pelerynie.

- Moje interesy! - Pomyślałem ze złością, zbliżając się. Zasalutowałem.

- Dobrze, dobrze - powiedziałem. - Ile?

- Piętnaście...

Zapłaciłem karę, wsiadłem i pojechałem prosto do Majesticu.

Przechodząc przez hall, zjrzałem do wielkiej bawialni i dobrze zrobiłem, bo Zuzanna siedziała pod oknem. Czytała i robiła jakieś notatki.

- Pieniądze podjął ktoś, komu Maysters zaufał - powiedziałem, kończąc moją relację. - Albo jedna z pielęgniarek, albo któryś z pacjentów.

- Może dałoby się dowiedzieć, czy jakiś pacjent nie został wypisany z kliniki między 15 a 19 kwietnia? - zauważyła.

- Nie, to nic nie da, bo u Johnstona panują takie obyczaje, że pacjenci mogą wychodzić na miasto, kiedy chcą...

Przez chwilę patrzeliśmy na siebie w milczeniu.

- Czy pójdzie pani jutro ze mną do Johnstona? - spytałem nagle.

- Po co?

- Żeby obejrzeć historię choroby i usłyszeć, co Johnston ma o niej do powiedzenia...

- Pan naprawdę wierzy w to, że on go...

- W nic nie wierzę - powiedziałem. - Dopóty w nic nie wierzę, dopóki się nie przekonam - odpowiedziałem. - Pójdzie pani ze mną?

- Dobrze - skinęła głową. - Jutro rano?

- Tak. Przyjdę po panią o dziewiątej.

VI

W obszernym białym płaszczu, potężnych rogowych okularach, z zaplecionymi na brzuchu różowymi od częstego mycia rękami chirurga doktor Johnston sprawiał nader solidne wrażenie. Przyjął nas w swoim gabinecie zaprojektowanym na pewno przez niezłego artystę; utrzymane w pastelowych tonach boazerie podkreślały wraz z lekkimi nowoczesnymi meblami pogodny nastrój tego olbrzymiego, całą ścianą ze szkła na nadrzeczne ogrody wycelowanego pokoju. Na czarnej lśniącej płycie biurka leżały w idealnym porządku zgrupowane przybory do pisania, z jednej strony stał mały magnetofon, z drugiej – dwa aparaty telefoniczne zgrane kolorystycznie z obiciami; każdy szczegół był tu zaprojektowany ze smakiem.

Historia choroby Maystersa leżała przed nami. Zuzanna miała ją już przedtem w ręce.

– Teraz, kiedy poszedłem pani tak daleko na rękę, jak tylko mogłem, droga koleżanko szanowna – odezwał się Johnston swym nosowym barytonem – może zechce mi pani wyjawić, czemu należy przypisać te pani kroki? Uważam, że są nieco... dziwne...

– Pozwoli pani, że ja odpowiem? – zwróciłem się do Zuzanny i nie czekając na jej przyzwolenie, powiedziałem: – Chodzi o to, panie doktorze, że pan Maysters podczas swego pobytu w lecznicy pra-

gnął otworzyć depozyt dla pewnego bliskiego mu człowieka i w tym celu dał komuś czek. Ta osoba podjęła pieniądze, jak stwierdziliśmy, ale nie dokonała wpłaty, czyli – mówiąc po prostu – przywłaszczyła sobie całą sumę... Chodzi teraz o wykrycie, kto nadużył zaufania zmarłego...

– Czy tak...? – cicho odezwał się Johnston, kierując wzrok na Zuzannę. Jego rozległą łysinę przykrywały pasma starannie rozczesanych i jakby przylepionych do bladej skóry włosów.

Zuzanna skinęła głową w milczeniu.

– Dowiaduję się o tym z prawdziwą przykrością – rzekł Johnston, poprawiając się w fotelu, a jego pulchne, wielkie ręce z lekka ocierały się o siebie, jakby pragnął podkreślić tym gestem rozmiary swego zafrasowania.

– Naturalnie nic o tej fatalnej historii nie wiem. Będąc w stanie nadzwyczaj ciężkim, pan Maysters chroniony był przed wszelkimi niebezpieczeństwami z zewnątrz i oddany w nieustanną opiekę dwu pielęgniarek, za których uczciwość mogę absolutnie ręczyć. Nie pojmuję doprawdy, w jaki sposób mógłby w tej sytuacji... – urwał. Jakąś chwilę milczeliśmy. Przez uchylone okno przyplłynął słaby odzew małego motorowego stateczku, który szedł w górę rzeki, walcząc dzielnie z prądem; jego dziobowa fala – widziałem to z mego miejsca – rozhuśtała dziesiątki kolorowych łódeczek rozrzuconych po całej powierzchni stalowoszarej rzeki.

– Czy mogę prosić pana o adresy tych pielęgniarek? – spytałem.

Popatrzył na mnie, jakby dzieliła nas wielka odległość, i wolno opuścił powieki.

– To chyba całkowicie zbędne, skoro gotów jestem wziąć pełną odpowiedzialność...

– Czy to ma znaczyć, że gotów pan odpowiadać za straty materialne wynikłe w obrębie masy spadkowej w związku z tą malwersacją dokonaną podczas pobytu zmarłego w pańskiej lecznicy? – spytałem pogodnie.

– Mój panie – zaczął gniewnie doktor. Zuzanna spojrzała na niego.

– Nie chcielibyśmy panu przeszkadzać dłużej i zabierać czasu – powiedziała szybko. – Może zechce pan podać nam te adresy? Proszę...

Johnston chrząknął i nachmurzony energicznym pochylonym piśmem wypełnił błyszczącą kartkę bloku, wyrwał ją i podał Zuzannie, która ujęła ją i podniosła się z fotela. I ja wstałem. Pożegnaliśmy się w milczeniu i wyszli na korytarz. Przechodziliśmy między szklanymi

mi ścianami dwudzielnej palmiarni, gdy za nami rozległo się pospieszne człapanie.

– Proszę pani... – doszedł nas się delikatny, drżący lekko głos. Odwróciliśmy się. Przed nami stał niewielki zasuszony człowieczek w pasiastym szlafroku, łysą głowę przykrywała mu jedwabna mycka; małpie, cienkie rączki trzymał zaplecione przed sobą na wysokości piersi, jak do modlitwy.

– Przepraszam, że się ośmielam... moje nazwisko Slatter... Joshua Slatter... Doszło mnie, że pani jest córką nieodżałowanego pana Maystersa. Czy się nie mylę?

– Nie, nie córką, ale osobą bardzo mu bliską, krewną – rzuciłem pospiesznie i ścisnąłem szybko rękę zdziwionej moim odezwaniem się Zuzanny.

Staruszek drżał wciąż jakby wystawiony na wielki mróz.

– Bo chodzi o to... ja... wie pani... pozwoliłem sobie zrobić zdjęcie. Mam tu aparacik, i tak – pstryknie się coś czasem... a potem to może się okazać cenną pamiątką... Akurat film mi się skończył. Tylko że to ja sam nie mogę, to jest, te zdjęcia nie są wywołane...

– Ach, zrobił pan zdjęcia pana Maystersa! – rzekłem żywo, zbliżając się o krok do staruszka, którego powieki migwały w zmarszczonej jak jabłuszko pieczone twarzy niby dwa trzepocące mole. – Z wdzięcznością wzięlibyśmy je od pana, wywołamy je, naturalnie, a resztę... Co z resztą? Prześlemy tu, do lecznicy, na pana adres...?

– A to by było dobrze, to by było bardzo, bardzo dobrze – zagadał pospiesznie staruszek i podał mi zwiniętą, opakowaną w czerwony papier rolkę filmu.

– Pan Joshua Slatter, jeśli dobrze usłyszałem, czy tak? – powiedziałem. – Prześlemy panu wszystkie zdjęcia, czy i film także?

– A bardzo proszę, bardzo proszę.

– O, to głupstwo. Podziękuj panu, Zuzanno – powiedziałem. Zuzanna bąknęła coś i wyszliśmy odprowadzeni spojrzzeniami kilku pacjentów, których ściągnęła ta scena.

– Co to miało znaczyć? Dlaczego zrobił pan ze mnie krewną Maystersa? I po co panu te zdjęcia? – spytała Zuzanna, zaledwie wyszliśmy na ulicę.

– Sam nie wiem – przyznałem się – ale w takiej sytuacji, kiedy wszystko kolejno zawodzi, chwytam się już każdej słomki... Ostatecznie będziemy mieli przynajmniej fotografię...

– I cóż panu z niej przyjdzie?

- To prawda, że niewiele mruknąłem. Odwiozłem Zuzannę do hotelu, a po drodze do biura oddałem zdjęcia do wywołania. Fotograf obiecał zrobić odbitki na czwartą po południu. Wróciwszy do biura, odszukałem w kieszeni kartkę, na której Johnston napisał adresy obu pielęgniarek. Usiadłem i zatelefonowałem do pierwszej, Pidgllars, tej rzekomo chorej.

*{NIE PRZYCHODZI DO PRACY OD DWÓCH DNI. PEWNO JEJ RZEKŁ JOHNSTON NIEDYSPONOWANA.}**

[– Kiedy się odezwała, odchrząknąłem i nadając głosowi brzmienie nadzwyczajnego zaafferowania, rzekłem:

– Pani Pidgllars? Proszę pani, dzwonię z lecznicy doktora Johnstona. Przywiozłem tu dziś właśnie moją siostrę i szalenie by mi zależało na tym, żeby pani zechciała się nią osobiście opiekować. Tylko doktor Johnston powiedział mi, że pani podobno nie może... Bylbym skłonny wynagrodzić panią dodatkowo, bo tyle dobrego słyszałem o pani... – zawiesiłem głos.

– Bardzo mi przykro – powiedział kobiecie głos – ale chwilowo nie mogę się tego podjąć.]

- Dzwonię z polecenia doktora Johnstona... Pani, jak się dowiedziałem, zajmowała się z takim oddaniem moim zmarłym opiekunem z lat dziecinnych, panem doktorem Maystersem... Gdyby mi pani mogła opowiedzieć o jego ostatnich chwilach, o tym, czy nie wspominał czasem o mnie... Naturalnie nie śmiem zabierać pani czasu, proszę potraktować to jako odpłatną przysługę...

- Jak się pan nazywa...? - powoli spytał kobiecie głos. Proszę, czyżby Johnston zawiadomił ją już, ostrzegając przede mną? Tak szybko? To się nazywa mieć diabła za kołnierzem!

- Mandro. Jim Mandro - powiedziałem.

- No, nie wiem, co zrobić... - powiedziała z ociąganiem. - Na prawdę nazywa się pan Mandro?

- A jakże się u Boga ojca mam nazywać? - spytałem. - Co się stało? O co właściwie pani chodzi?

Syntetyczne zdziwienie, jakie drgało w moim głosie, było widać dobrze podrobione, bo odparła:

- Mam nadzieję, że pan mówi prawdę...

* W nawiasach {} umieszczono zawarte w maszynopisie notatki autora na temat dalszego rozwoju akcji

- Ależ dlaczego miałbym kłamać!?! - zawołałem - Niechże mi pani wytłumaczy!

- Proszę przyjść do mnie, to zobaczę... - odparła powoli. - Zna pan mój adres?

- Tak. Od doktora Johnstona. Czy mogę przyjść dzisiaj?

- Dobrze. Mam dziś dyżur od czwartej.

- To może o trzeciej? Podrzuciłbym panią potem autem do szpitala...

Na tym stanęło. - Albo ta pielęgniarka jest skończoną idiotką i nie przypuszcza, że podopieczny zmarłego jest tą samą osobą, przed którą ostrzegł ją chlebobawca, albo coś mi tam przyszykują - pomyślałem. Zeszedłem na dół. Parówek, kanapek i zimnych zakąsek miałem już dość na dłuższy czas. Poszedłem do restauracji narożnego hotelu Olympic i zjadłem ucziwy obiad. Kosztował mnie dziewięć dolarów. Skradzionych, należałoby dodać. Nie wiem, czy się już przyzwyczaiłem - w każdym razie myśl ta nie odebrała mi apetytu. Przez chwilę rozważałem, czy nie zrobić czegoś ze swoją twarzą przed udaniem się do pielęgniarki, ale myśl tę odrzuciłem ze wstydem. Raz w życiu miałem tylko perukę na głowie, było to na zabawie maskowej i skończyło się kompletnym moim pohańbieniem, bo spadła mi razem z maską w najbardziej niewłaściwym momencie. Dochodziła trzecia. Podjechałem do fotografa.

- Bardzo mi przykro, proszę pana - powiedział - ale ten film był cały prześwietlony.

- Co?!

- Tak. Widocznie otwierany był na mocnym słońcu, a może się nawet rozwinął. Widzi pan? - Pokazał mi rozpiętą błonę pod światło, rozpostarłszy ją oburącz. Rzeczywiście, była prawie czarna, zwłaszcza w środku.

- Dziwne - powiedziałem. - Dziwne...

- Czy ten film nie był przechowywany w jakimś szpitalu? - spytał.

- Z czego pan to wnosi? - spojrzałem nań bystro. Uśmiechnął się słabo z zakłopotaniem.

- A bo opakowanie pachniało jakby jodoformem...

- Więc co z tego, że był w szpitalu? Tak, był.

- Nie, nic. Tylko, wie pan, zdarzyło mi się już parę razy, że wywołałem klientom takie właśnie filmy i potem okazało się, że to byli rentgenologowie.

- No!?

- Mieli je w kieszeniach podczas prześwietlania - wyjaśnił. - Bo to promienie X, wie pan, zaczerniają kliszę...

- I co jeszcze ją zaczernia...?

- Co jeszcze? Promienie radu na przykład... Ale rad trzyma się na ogół w ołowianych kasetach...

- Promienie radu - powtórzyłem powoli. Wyjąłem mu z ręki film i spojrzałem pod światło. Nie był całkiem spalony. Tu i ówdzie przez czerń niewyraźnie przecierały się jakieś kontury świadczące o tym, że zrobiono zdjęcia, które potem dopiero uległy zniszczeniu.

- Co jestem panu winien?

- Ach, głupstwo. Pięćdziesiąt centów.

Zapłaciłem, schowałem spalony film do kieszeni i pojechałem na 19th Ave do pielęgniarki. W głowie wirowało mi od myśli tak, że ledwo widziałem, co się dzieje na jezdni przede mną. Deszcz znowu zaczął padać, już nie ulewny - wyglądało na to, że będziemy jakiś czas mieli slotę. W pewnej chwili błysnęło oślepiająco i równocześnie podskoczyłem prawie na siedzeniu.

- Wielki Boże!

Zrozumiałem, dlaczego film jest spalony. Poczulem każdy z osobna włos na głowie. Jeżeli to jest prawda, mruczałem do siebie, a rozmawiać ze sobą zdarza mi się nie częściej niż raz na parę lat. No dobrze, ale jak to stwierdzić? Ekshumacja? To było wykluczone. - Musi być jakiś sposób... myślałem. - Są przecież takie aparaty: liczniki Geigera... Zatrzymałem się przed wielkim magazynem elektrotechnicznym.

- Proszę pana - zwróciłem się do sprzedawcy w białym kitlu - mam taki kłopot: mieszkam pod Richmond przy samej szosie. Mamy tam z żoną mały domek. Niedawno było w gazecie, że jakaś ciężarówka z bazy w Nevadzie zgubiła między Oxlaforde a Richmond pojemnik z tymi, wie pan, izotopami radioaktywnymi. I moja żona obawia się, czy jakiś pies albo jakieś dziecko nie zawlokło takiego izotopu do naszego ogrodu... To wprawdzie nie ma wiele w tym, jak myślę, ale pan wie, jakie są kobiety. Podobno są takie urządzenia, którymi można taką substancję wykryć. Czy ma pan coś, co mogłoby mi do tego posłużyć?

- Och, jak najbardziej, proszę pana. Mamy nawet spory wybór - powiedział i zaczął mi pokazywać rozmaite aparaty, stawiając je po kolei na ladzie.

- Tylko żeby to było małe, wie pan - powiedziałem. - Małe ale zarazem bardzo czułe. Bo jak już coś robię, to chcę to zrobić porządnie, czy w tym tkwi duży sens, czy mały...

- W takim razie poleciłbym panu ten model próżniowego licznika Muellera-Strohmeima wykonany w Japonii. Dzięki temu jest bardzo tani.

- Bardzo tani, to znaczy ile...? - spytałem, biorąc do ręki ten przyrządek. Przypominał długą jak dwa wieczne pióra niklową pałeczkę, niezbyt ciężką, połączoną kabełkiem z małą płaską skrzyneczką w drewnianej obudowie. Po uniesieniu wieczka ukazała się tarczka ze wskazówką, jakieś cewki, i coś w rodzaju małego mikrofonu.

- Sześćdziesiąt siedem dolarów - powiedział - razem ze wzmacniaczem, głośnikiem i zapasową elektrodą.

- A czy to jest czułe?

- Nadzwyczaj, proszę pana. Sprowadziliśmy większą partię, bo sporo ludzi zabrało się teraz do poszukiwania złóż uranu, wie pan...

- Złóża uranu to raczej silny numer - powiedziałem. - Ale gdyby tego izotopu było mało... czy on to wykryje, co?

- Na pewno. Wykrywa promieniowanie o natężeniu jednego milicurie - to znaczy... Czy ma pan może zegarek ze świecącym cyferblatem?

- Tak.

- Proszę pozwolić...

Zbliżyłem tępy koniec niklowej pałeczki do mego zegarka i we wnętrzu skrzynki coś z wolna cichutko zacykało.

- Widzi pan? - rzekł triumfalnie. - A to jest przecież promieniowanie najzupełniej nieszkodliwe. Taki zegarek można sto lat nosić i nic się człowiekowi nie stanie. A licznik je wykrywa...

- No, to dobrze, niech mi pan to zapakuje - zdecydowałem się. - Aha... jeszcze jedno, nie ma czasem do tego jakiejś rękojeści? Jakiegoś drążka, żeby nie trzeba było się z tym schylać?

- Do tego modelu akurat nie, proszę pana, ale mogę panu przystosować odpowiedni trzymak.

- Tak? Doskonale.

Zapłaciłem za aparacik. Sprzedawca obiecał, że całość będzie gotowa przed siódmą. Było już po trzeciej, więc pojechałem, nie zatrzymując się już nigdzie, na 19th Ave.

Pielęgniarka mieszkała w willowej dzielnicy. Domy, przeważnie dwurodzinne bliźniaki, stały zasłonięte owocowymi drzewami, od uli-

cy oddzielała je siatka. Furtka była opatrzona elektrycznym zamkiem. Zadzwoiłem i po chwili rygiel szczęknął lekko. Dom był drewniany, stary, z zacięoną werandą, na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie niezamieszkanego, bo okiennice piętra były głucho zamknięte. Wszedłem na werandę i zjrzałem do mrocznego pokoju. Zobaczyłem najpierw wielki czarny fortepian i refleksy słońca w szklach licznych obrazów; z głębi wyszła niemłoda kobieta w sukni z zawiniętymi rękawami; coś zawarczało za mną nisko, ale to nie był głos psa; odwróciłem się i zobaczyłem może dziewięcioletniego chłopca, który wyjrzał na czworakach spod fortepianu, szczerząc zęby.

- Tommy, przestań - powiedziała kobieta. - Czego pan sobie życzy?

- Nazywam się Mandro. To ja dzwoiłem do pani przed południem - odparłem. - Przepraszam, że się trochę spóźniłem.

- A, to pan.

Zawahała się.

- Proszę usiąść - wskazała mi kozetkę okrytą poduszkami przy małym trójkątnym stoliku. - Tommy, przestań - powtórzyła, bo chłopiec zaczął walić obiema rękami o podłogę z całej siły. Mruknął coś niechętnie i usiadł obok fortepianu.

- Nie wiem, co właściwie mogłabym panu powiedzieć - odezwała się pielęgniarka, siadając naprzeciw mnie.

- Chciałem usłyszeć, co mówił, jak się zachowywał pan Maysters. Czy zwracał się do pani o przekazanie komuś listu?

- Listu? - uniosła brwi. Miała zmęczoną, bladą twarz z podkrążonymi oczami. - O jaki list panu chodzi?

- A czy Maysters wysyłał za pani pośrednictwem więcej listów? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

- Być może - odparła powoli. - Nie przypominam sobie. To było dość dawno. Poza tym ma się tylu pacjentów... Wzruszyła ramionami.

- O, może pani sobie przypomni - powiedziałem, uśmiechając się. - Był to dość gruby list zaadresowany do dyrektora Banku Centralnego.

Spojrzała na mnie bystro i natychmiast opuściła powieki.

- Możliwe - powiedziała. - Naprawdę trudno mi sobie przypomnieć.

- Komu pani go dała? - rzuciłem szybko.

- Nie pamiętam.

- Trudno. Może więc opowie mi pani, co mówił Maysters przed śmiercią? Czy wyraził jakieś życzenia?

- Był bardzo spokojny, aż do końca - zaczęła powoli, zwilżając wargi. Widziałem, że przygotowuje się do dłuższego opowiadania. Składały się na nie same ogólniki; było jasne, że nie chce mi nic powiedzieć. Skierowałem wzrok na chłopca. Siedząc w kucki, miesił sporą bryłę plasteliny. Z nadzwyczajną wprawą utoczył z niej kulę, przylepił do niej jeden grubszy kęsiek różowawej masy i dwa cieńsze, tak że stały się nosem i ustami, opuszką palca zaznaczył oczodoły i pracując wciąż tak samo szybko, wymodelował może w trzy minuty twarz o szeroko rozstawionych kościach policzkowych. Przypatrywał się swemu dziełu z zadowoleniem. Podjął z podłogi nóż bez trzonka i zaczął dźgać nim na przemian oczy, policzki i usta wyrzeźbionej głowy; nareszcie nadkroił ją i poćwiartował gwałtownymi uderzeniami.

- Mówił mi, że nie ma żadnej rodziny i jest całkiem sam na świecie - monotonnym głosem ciągnęła pani Pidgllars. - Myślę sobie, że był z tego nawet zadowolony, bo kiedy ktoś umiera, najwięcej cierpią inni, ci, co zostają.

Chłopiec przestał pastwić się nad plastelinowymi szczątkami. Zebrał je, zmiesił, zatoczył po podłodze, aż powstała kula, wydłużył ją i końcem noża narysował oczy.

- Obawiam się, że nic więcej panu nie powiem - powiedziała kobieta. - Muszę już zresztą iść do szpitala. Mówiłam panu, że mam dziś dyżur.

- To pani synek? - spytałem.

- Tak.

- I jakże sobie pani radzi? Ktoś mieszka jeszcze chyba z panią?

- Nie. Tomek ma niedobre dzieciństwo, wiem, ale nie mogę na to poradzić. Nauczył się obywać beze mnie. To jest los kobiety porzuconej - powiedziała z jakimś dumnym i wzgardliwym zarazem tonem.

Wstała. I ja się podniosłem.

- Podwiozę panią?

- Jeżeli pan ma ochotę. Muszę się tylko przebrać.

- Zaczekam.

Wyszła drugimi drzwiami. Kiedy się zamknęły, chłopiec, który po raz trzeci czy czwarty już kończył masakrować plastelinową twarz, rozplaszczyl jej resztki kolanem i nie wstając z czworaków, odezwał się:

- Mógłbym ci coś powiedzieć.

- Tak? A co mógłbyś mi powiedzieć? - spytałem, podchodząc do niego. Wciąż stał na czworakach.

- Dużo rzeczy. Co mi za to dasz?

- A co byś chciał?

- Poprowadzić samochód.

- Zostaniesz sam w domu, jak mama pojedzie do szpitala? - spytałem.

- Nie bądź taki ciekawy - powiedział.

Rozległy się kroki i pani Pidgllars weszła z dużą płaską torbą w rękę; pocałowała chłopca w czoło, naszeptala mu coś do ucha, co przyjął biernie, starając się wyswobodzić jak najszybciej, i wyszliśmy przez werandę. Zamknęła drzwi na klucz, który schowała do torby.

Przez całą drogę nie odezwała się do mnie ani słowem i ja też zachowałem milczenie. Wysadziłem ją przed szpitalem, nawróciłem i pojechałem prosto na 19th Ave Street. Zaparkowałem samochód przed posesją pani Pidgllars, przeszedłem przez ogród i podszedłem do furki. Była zamknięta, ale skobelek elektrycznego rygla dał się bez trudu odsunąć przesuniętym między żelaznymi prętami scyzorykiem. Zatrzasnąłem ją za sobą i zbliżyłem się do domu. Zobaczyłem chłopca przez oszklone drzwi werandy. Wyrwał nogi słoniowi, którego ulepił z plasteliny. Zapukałem delikatnie w szybę. Podniósł głowę. Przyzwałem go palcem. Uśmiechnął się złośliwie i wywalił na mnie język. Pokazałem mu kluczyki od samochodu zawieszane na maskotce w kształcie kierownicy. Schował język. Zapukałem kluczykami w szybę i znowu pokiwałem na niego palcem. Powoli wstał. Gotów już byłem myśleć, że umie chodzić tylko na czworakach.

- Odejdź! Drzwi są zamknięte! - krzyknął, zbliżając usta do szyby.

- To nic. Otwórz mi okno od kuchni - powiedziałem. - Opowiesz mi różne rzeczy, a ja ci dam poprowadzić auto. Rozumiesz?

Nos, który przycisnął do szkła, zmienił się w biały guziczek.

- Kłamiesz - powiedział samymi wargami.

- Nie kłamię. Otwórz okno.

Wyprostował się i popatrzał ponad mną w ogród. Potem bez słowa odwrócił się i zniknął w głębi mieszkania. Obszedłem dom i zatrzymałem się na jego tyłach. Ogród był okropnie zapuszczony. Pełno żółkłych od upału chwastów przerosło ścieżki i klomby, na których dogorywało trochę wysianych wiatrem niebieskich i czerwonych kwiatów. Wąskie, ciemne okno u naroża budynku szczęknęło i otworzyło się z wolna. Podszedłem tam i zajrzałem do środka; parapet znaj-

dował się na wysokości mojej piersi. Chłopiec stał tuż przy oknie z jakimś narzędziem w ręku. Chwyciłem się oburącz deski parapetu i zacząłem się podciągać. W tym momencie pchnął ramę okienną, która przygniotła mi palce, że omal nie krzyknąłem.

Zakląłem i puściłem się. Chłopiec odskoczył, nie zamykając okna. Odepchnąwszy ramę łokciem, zmacałem stopą kratę okienka i jednym susem znalazłem się w kuchni.

Palce lewej ręki piekły mnie jak chwycone ogniem.

- No, co mi powiesz? - spytałem.

Milczał.

- Obiecałeś mi coś powiedzieć.

- Powiem ci w samochodzie - powiedział.

- W samochodzie?

Rozejrzałem się po kuchni. Przy biało lakierowanej szafie stał drewniany stółek. Przystawiłem go do okna.

- Chodź - powiedziałem.

- Dokąd?

- Do samochodu.

- A wsadzisz mnie z powrotem przez okno?

- Tak. Chodź.

Wskoczył na parapet. Pomogłem mu opuścić się na trawę i sam zeskoczyłem w ślad za nim. Obeszliśmy dom i maszerując obok siebie zgodnie, okrążyliśmy dom i doszli do auta. Dałem mu usiąść przy kierownicy.

- Teraz mi powiesz? - spytałem.

- Ale ja chcę naprawdę prowadzić.

- Umiesz?

- Pewno.

Włączyłem motor. Nie mógł dostać stopą do pedałów. Ulica była chwilowo pusta, jakieś dwieście kroków dalej dzieci bawiły się piłką. Włączyłem bieg i wóz ruszył, chłopiec ścisnął mocno kierownicę, przejechaliśmy tak ze czterdzieści metrów, wtedy wyłączyłem kluczyk. Auto potoczyło się jeszcze kilka kroków i stanęło.

- No? - powiedziałem.

- To się nie liczy.

- A co się liczy?

- Chcę objechać blok.

Stłumiłem przekleństwo i włączyłem po raz drugi silnik. Wóz toczył się coraz szybciej, wyjął na niskim biegu. Tak minęliśmy grupę

dzieci, jakoś nie zwróciły na nas uwagi. Ulica się kończyła. Z prawej strony było szczerne pole, z lewej – grupa zabudowań świecących czerwoną cegłą. W głębi nad horyzontem przekreślały niebo skośne smużki fabrycznych dymów. Kilku ludzi w roboczych kombinezonach pracowało przy małym ciągniku, który zjechał dwoma kołami z szosy na jej pobocze, rozwijali kabel z ogromnego bębna. Dojeżdżaliśmy do nich, kiedy chłopiec powiedział:

– Pójdiesz do kryminału.

– Ja? Dlaczego?

– Porwałeś mnie. Jesteś kidnapерem, wiesz?

– Co ty pleciesz?

Zaciągnął ręczny hamulec, aż nami szarpnęło. Motor zgasł. Wysadził głowę przez okno.

– Ratunku! – krzyknął. – Na pomoc!!

Lewą ręką złapałem go za kołnierz i wciągnąłem do środka, prawą zatkałem mu usta. To już nie były przelewki. Walczył jak kuna, zwinny i szybki, drapał mnie po rękach, gryzł, ale nie zważałem na to. Wcisnąłem jego twarz w oparcie fotela, przerzuciłem się całym ciałem ku kierownicy, wolną ręką odpuściłem hamulec i uruchomiłem motor. Bieg był na szczęście włączony. Wóz ruszył, nabierając szybkości. Robotnicy nawet się nie obejrzeni – odgłos pracującego ciągnika stłumił widać jego krzyki. Jechałem tak, przyciskając wciąż prawą ręką jego głowę między siedzenie a oparcie, aż oddaliliśmy się od ciągnika o dobrych kilkaset metrów. Wtedy go puściłem. Miał zakrwawione wargi, ale to była moja krew. Pokąsał mi rękę.

– Wiesz, co ci zrobię? – powiedziałem. – Wezmę żyłkę i poprzecinam ci twarz. Tak jak to zrobiłeś z tą plastelinową głową.

– Nie zrobisz tego – powiedział. – Nie zrobisz, bo byś poszedł do kryminału.

– Kryminały są dla takich jak ty – odparłem. – Zobaczysz, jak dorośniesz.

W schowku obok kierownicy musiała leżeć żyłka. Położyłem ją tam kiedyś. Wyciągnąłem wszystko ze środka, aż ją znalazłem i wyluszczyłem z papierka.

– Teraz cię potnę – powiedziałem i złapałem go za kark. Wrzasnął, że omal mi bębni nie popękały.

– Wypłuj natychmiast to, co miałeś mi powiedzieć, albo wypruję cię na strzępki! – huknąłem na niego.

– Puść mnie! Puść mnie! – wył. Poluźniłem chwyt.

- Mówisz czy nie?

Zaczął drgać całym ciałem, oczy wyszły mu na wierzch. Nie wiedziałem, czy to histeria, czy może atak epileptyczny. Na wszelki wypadek uderzyłem go lekko w twarz. Od razu uspokoił się i ucichł.

- Mów!

- Gru... gruby doktor zakazał mamie mówić... - wystękał chłopak.

- Był u was? Ten gruby doktor?

- Był.

- Co zakazał mówić?

- Że on chciał adwokata.

- Kto?

- Nie wiem. Ten, co umarł.

- Jak się nazywał?

- Nie pamiętam.

- Może Mayner?

- Nie. Podobnie jakoś.

- Maysters?

- Tak. Maysters. Tak.

- Gruby doktor powiedział, że Maysters chciał adwokata?

- Nie. Powiedział matce, żeby ci nie mówiła, że on chciał adwokata.

- Żeby mnie nie mówiła?

- Tak.

- Dokąd miał przyjść ten adwokat? Do szpitala?

- Nie wiem.

- A co jeszcze wiesz?

- Nic nie wiem.

Włączyłem motor i zawróciłem. W pięć minut dojechałem do domu pielęgniarki. Furtka była niedomknięta, jak ją zostawiłem. Poszedłem z chłopcem na tył domu, podsadziłem go na parapet okna i nawet się nie obejrzawszy, wróciłem do auta i odjechałem w stronę śródmieścia. Przy pierwszej napotkanej aptece zatrzymałem się i za kleiłem sobie dłoń plastrem, sumiennie wydezynfekowałem ranę wprzód jodyną. Wyglądała jak poszarpana przez dzikiego kota.

- Przyjemniaczek - pomyślałem o synku pani Pidglars.

Dochodziła piąta. Zatelefonowałem z automatu przed magazynem Woolwortha do Zuzanny. Znów nie było jej w hotelu. - Ciekawe, gdzie ona przepada? - pomyślałem. Po drodze do biura odebra-

łem w elektrotechnicznym magazynie licznik Geigera przytwierdzony już do półtorametrowej rurki aluminiowej i zaopatrzony w książeczkę obsługi, pojechałem do biura.

Zostawiłem portierowi mój numer telefonu dla Zuzanny. Zgłosiła się o siódmej.

– Przyjdę do pani – powiedziałem. – Można zaraz?

Zgodziła się, więc zawiązałem aparat w stary płaszcz, żeby nie rzucał się w oczy, i zamknąwszy go w bagażniku, pojechałem do Zuzanny. Pierwszy raz byłem w jej pokoju. Był wcale schludny, z łazienką, ale wychodził na hotelowe podwórze i przez lufcik ciągnęło nieznośnie smaženiami kuchennymi. Dlatego był taki tani.

– Zaczyna mi się to rysować – powiedziałem do niej. – Maysters nabral jakichś podejrzeń i chciał się widzieć ze swoim adwokatem. Johnston przestraszył się tego i dlatego izolował go od wszystkich innych pacjentów. Ta pielęgniarka, Pidgllars, musi być jego zaufaną. Sądząc z charakterku, jakim obdarzyła syna, musi być miłą osobą.

Opowiedziałem jej w paru słowach o mojej przygodzie z małym Tomkiem.

– A kto podjął pieniądze? – spytała.

– Nie wiem. Johnston na pewno nie.

– Skąd pan to może wiedzieć?

– To proste. Maysters nie ufał mu. Podejrzał go o najgorsze względem siebie zamiary, użyłby więc każdego innego człowieka, tylko nie jego. Pozostaje pani Cormick albo jedna z pielęgniarek.

– Albo inny pacjent – dodała.

– Tak, albo inny pacjent. Ale szanse na to nie są wielkie, bo Johnston zadbał już o to, żeby Maysters nie mógł się z nikim skontaktować.

– Może portier?

– Mało prawdopodobne. Musiał chyba rozumieć, że to człowiek Johnstona. Pielęgniarka wydaje mi się podejrzana.

– Dlaczego? Takie dziecko to nieszczęście raczej aniżeli poszlaka – zauważyła Zuzanna. Czulem, że wciąż nie jest ze mną dobrze.

– Sądzę po jej reakcji na moje pytanie o list z czekiem – odpowiedziałem i dodałem tym samym tonem: – Pani mnie znosi. Dlaczego?

– Naprawdę chce pan wiedzieć?

– Tak... – powiedziałem, ale dosyć słabo. Ogarnął mnie trudny do wytłumaczenia niepokój.

– Mam wrażenie, że pan coś przede mną ukrywa.

– Ja? Ukrywam przed panią?

- Tak. Czy to prawda?
- Skądże znowu! Naprawdę, nie pojmuję, skąd się pani to wzięło
- zacząłem, ale osądziły mnie jej słowa:
 - Zbyt energicznie pan zaprzecza... Mniejsza o to. Ostatecznie nie jest pan wobec mnie obowiązany do absolutnej szczerości.
 - Ale ja naprawdę...
 - Nie będziemy o tym mówili, dobrze?
 - Dobrze - mruknąłem. - Proszę pani... to, co powiedziałem, jest tylko wstępem. Nie wiem, czy mogę pani to zaproponować... Wybieram się dziś w nocy na cmentarz.
 - Czy pan ma dobrze w głowie? Ekshumacja na własną rękę?
 - Nie.
- Przedstawiłem jej sprawę zaczernionego filmu.
 - Mam w aucie licznik Geigera. Kupiłem go po południu.
- Milczała przez chwilę z drobną zmarszczką pośrodku białego czoła.
 - Wątpię, czy to może coś wykazać - powiedziała. - Zaraz... pan powiedział przed chwilą - pan chce, żebym poszła z panem na cmentarz?
 - Nie, ja tylko proponuję.
 - Po co? Do czego będę potrzebna?
 - Jako świadek, jeżeli aparat coś wykaże...
 - Czy to ma znaczyć, że pana słowo nie wystarczyłoby władzom, w razie gdyby do czegoś doszło?
 - Nie wiem. Zawsze lepiej mieć świadka. Ale nie nalegam, pani Zuzanno, ryzyko, chociaż niewielkie, istnieje przecież.
 - Co za ryzyko?
 - No, że nas nakryją.
 - Czym by to groziło?
 - Może i aresztowaniem... W każdym razie wyglądałoby to na dobieranie się do grobu.
 - Nigdy jeszcze nie byłam aresztowana - powiedziała i uśmiechnęła się. Uśmiech ten trwał niecałą może sekundę, ale rozjaśnił i odmienił jej twarz.
 - Wobec tego pójdę - orzekła.
 - Nie wiem, czy mogę się zgodzić.
 - Ma pan fałszywą i pokretną naturę - wyjaśniła spokojnie. - Najpierw namawia mnie pan, potem odradza.
 - Nie namawiałem, tylko...
 - Ach, czy nie za dużo o tym mówimy?

- Na pewno - zgodziłem się. Jadła pani już?
- Nie.
- Doskonale, wobec tego zejdziemy teraz na dół, a po kolacji pójdziemy do kina, zaraz za rogiem.
- Jaki to film?
- Nie wiem, ale tam jest świetna klimatyzacja. Wypróbowałem.
- Kino jako wstęp do profanacji grobów? - powiedziała Zuzanna, wstając. - Nie wyobrażałam sobie nigdy, że w taki sposób będę spędzać czas w Nowym Jorku...

VII

Noc była chłodna. Jechaliśmy w smugach własnych i obcych reflektorów. Wzniesienie przed nami było szeregami pulsujących czerwonych i pomarańczowych tylnych świateł samochodów. Zjechałem ze środkowego pasa na boczny. Zostało mi już ledwo dwieście z czymś dolarów, nie wyobrażałem sobie, jak dociągnę do końca tej sprawy, nie mówiąc już o tym, że pojęcia nie miałem, skąd wytrzasnę pieniądze, aby je zwrócić.

- O czym pan myśli? - spytała zniecierpliwiona Zuzanna. W nieoświetlonym wnętrzu auta nie widziałem jej, czułem tylko jej ciepłą obecność.

- Ach, o głupstwach - odparłem.

- Nie wierzę.

- Jeśli pani chce wiedzieć prawdę, to o forsie - powiedziałem zły.
- Jeżeli nawet znajdę tego, kto zabrał depozyt, to i tak zdążył już na pewno wszystko puścić.

- To jednak niesłychane - powiedziała niewidzialna Zuzanna.
- Jedziemy nocą na cmentarz, żeby rozkopywać groby i badać radioaktywność zwłok, a pan myśli o dolarach. Czy pan się wstydzi przynajmniej?

- Nie - powiedziałem. - Bo muszę jeść, a oprócz tego auto nie chodzi bez benzyny. I czynsz za biuro muszę płacić, i raty za urządzenie, i w ogóle diabli wiedzą za co. Skończony ze mnie osioł, że wdalem się w tę sprawę - to moja najsekretniejsza myśl, jeżeli pani chce już wszystko tak dokładnie wiedzieć o mnie.

- Dlaczego właściwie został pan detektywem? - spytała. Wyobraziłem sobie jej twarz, kiedy wypowiadała te słowa, choć jej nie widziałem - musiała mieć ten swój drobny, ledwo zaznaczony, ale jakże wymowny grymas niesmaku, który zaostrzał kontur jej warg, jakby odpychała nimi coś niewidzialnego.

- Nie wiem - powiedziałem. - Może dlatego, że to nie jest monotone. To znaczy, tak myślałem na początku. Świat jest wielki i pewno zdarzają się na nim różne niesłychane zbrodnie i niesamowite przygody, ale mnie na ogół los ich oszczędził.

- Jak to, a ta? - spytała. W świetle reflektorów zabielały wymalowane na betonie strzały, skrzyłem na rozjazd autostrady i po chwili szumiąca rzeka aut została daleko za nami.

- Zaraz będzie cmentarz - powiedziałem. - Ta sprawa? Kiedy właściwie wiemy już prawie wszystko, proszę pani. Tak jest zwykle: wie się co, kto, dlaczego i jak, nie ma tylko dowodów. A bez dowodów nic nie można przedsięwziąć.

- Pan ma na myśli sąd?

- Mam na myśli sąd - powtórzyłem i zgasilem reflektory, zaledwie zamigotały w nich betonowe żywopłoty okalające cmentarne ogrodzenie.

Zatrzymałem samochód tuż przy bocznej furtce. Zuzanna wysiadła pierwsza. Wydobylem z bagażnika i owinięty w płaszcz tłumoczek z aparatem, i metalowy pręt, który sporządziłem w domu z wyprostowanego młotkiem pogrzebacza. Na wszelki wypadek wziąłem jeszcze łyżkę stalową do opon samochodowych i młotek ze skrzynki narzędziowej.

- Czy trafimy? - zaniepokoiła się Zuzanna. Stała tuż przy mnie.

- Myślę, że tak - powiedziałem. - Mam dobrą pamięć sytuacyjną.

- A czy latarkę też?

- Nie ma detektywa bez ślepej latarki - odparłem.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł. Stąpaliśmy ostrożnie zwirowaną ścieżką. Zwlekalem z zaświeceniem latarki, aby liściasty gąszcz oddzielił nas od drogi, bo jakiegoś przechodnia mogłoby zaintrygować ruchome światelko w głębi cmentarza. Pamiętałem, że trzeba iść

dość długo prosto, aż na szczyt „drogi do nieba”, a potem skrócić w lewo, ale w ciemności łagodna pochyłość, na którą wchodziliśmy, była niewyczuwalna. Nacisnąłem raz i drugi guzik latarki i po białym grobowcu podobnym do łodzi zorientowałem się, gdzie jesteście. Cisza panowała taka, że słyszałem oddech Zuzanny, chociaż nie widziałem jej. Od jakiejś chwili wzięliśmy się za ręce i szliśmy obok siebie jak dzieci. Aparat przewiesiłem sobie przez ramię.

- To chyba tu - powiedziałem, świecąc w czarny rozziw zarośli, ale grobowiec był inny: wysoki i smukły z polerowanego granitu.

- Rozejrzę się - powiedziałem cicho - proszę poczekać.

- Nie, nie! Pójdę z panem!

Uśmiechnąłem się mimo woli w ciemności.

- Jak pani woli.

Błądziliśmy jeszcze chwilę. Okazało się, że do grobu Maystersa doszliśmy inną jakąś drogą, ale to nie miało teraz znaczenia. Oświetliłem kamienny złom z wmurowaną tabliczką noszącą jego nazwisko. Nie był to grobowiec w zwykłym znaczeniu tego słowa, to znaczy podziemna, wymurowana komora mająca w przyszłości pomieścić inne jeszcze trumny. Samotników jak on chowano w ziemi. To utrudniało nieco zadanie, ale byłem doń przygotowany, musiałem się tylko wpierw zorientować, jak pod betonową obsadą nagrobka leży trumna. Zdecydowałem się spróbować przy narożu prostokątnej płyty.

Wziąłem zaostrzone żelazo od Zuzanny i zacząłem wbijać je w grunt. Czy sprasował go ciężar posadowionego obelisku, czy też z natury był taki spoisty, dość że poszło mi ciężiej, aniżeli się tego spodziewałem. Oddech Zuzanny to zbliżał się, to oddalał, jakby przechodziła za mną z miejsca na miejsce, podczas kiedy posługując się w atramentowej ciemności samym tylko dotykiem, kontrolowałem postępy pracy. Żelazny drażek wniknął na całą, metrową prawie długość w głąb trawnika, raz i drugi poczułem opór, który ustąpił jednak przy mocniejszym pchnięciu - widocznie natrafiałem tylko na odłamki kamieni. Rękojeść dotykała już źdźbeł trawy i zaniepokoiłem się, gdy pręt się zatrzymał, jakby trafił na skałę. Dźgnąłem mocniej - przeszkoda nie ustępowała.

Wyciągnąłem powoli żelazny pręt, kołowymi ruchami rozwiercając zarazem otwór, położyłem go na wilgotnej trawie i w wydrążony kanał wsunąłem powoli licznik Geigera. Szło mi to niesporo. Zawadził o coś kilkanaście centymetrów pod poziomem trawnika i nie chciał przesunąć się dalej, a bałem się użyć siły, aby go nie uszkodzić.

Musiałem raz jeszcze rozwiąć skośny kanał pogrzebaczem i wtedy dopiero licznik wszedł lekko do końca. Skrzyneczkę miałem zawieszoną na piersi. Podniosłem wieczko i po omacku włączyłem kontakt. Drgnąłem, tak wyraźny popłynął z niej stukot. Jakby ktoś metalowe ziarenka sypał na mocno napiętą membranę.

– Co to jest? – szepnęła Zuzanna. Poczulem ciepło jej oddechu, musiała schylić się tuż nade mną klęczącym na trawie.

– Proszę spojrzeć – odparłem, unosząc w obu rękach skrzyneczkę. Igła widoczna jako ostry, czarny cień na samoświecącej bladym seledynem skali poruszała się rytmicznymi ruchami, odliczając pojedyncze impulsy prądu.

– Niech pani zapamięta natężenie – powiedziałem. – Widzi pani dobrze?

– Tak.

– Wyciągnę teraz licznik do połowy, żeby się przekonać, czy nie ma jakiejś pomyłki – powiedziałem, robiąc to jednocześnie. Cykanie osłabło, a kiedy wydobyłem aluminiowy drążek z ziemi, ustało i powróciła rozległa cisza nocy.

– I co teraz? – powiedziała cicho Zuzanna, kiedy zatarłszy rękami ślady miniaturowego podkopu, wstałem z kolan i przewiesiłem na powrót licznik przez ramię.

– Teraz poszukamy jakiegoś fachowca, który powie nam, jaka tam tkwi dawka – powiedziałem.

– A dalej?

– To zależy. W każdym razie można teraz wystąpić o ekshumację. Czy słyszała już pani o zabójstwie człowieka przy użyciu pierwiastka radioaktywnego?

– Tak – powiedziała cicho. – W Hiroszynie.

– Co? Ach, naturalnie – odparłem. – Miałem oczywiście na myśli akcję, żeby tak powiedzieć, indywidualną, nie w skali całych narodów czy państw. Jak to jednak nowinki techniczne wzbogacają życie, prawda?

Zuzanna nie odpowiedziała. Wciągnąłem głęboko powietrze przesycone zapachem kwitnących lip.

– Komu w drogę, temu czas – powiedziałem. – Dziękuję pani.

– Ach, niechże pan nic nie mówi – odezwała się z niezrozumiałym dla mnie rozdrażnieniem. Drogę do furtki przebyliśmy w milczeniu. Ponieważ niewiele nam teraz groziło, używałem częściej latarki i nie błędząc, wróciliśmy do auta.

Noc była chłodna.

- Co to, deszcz? - powiedziała ze dziwieniem Zuzanna, kiedyśmy wsiedli i kiedy przy otwarciu drzwiczek w świetle, które zapaliło się w samochodzie, zabłysły ściekające wolno, gęste jak lzy krople na szybach.

- Nie, to rosa - odparłem.

W samej rzeczy, noc była chłodna i z listowia niewidzialnie przez mur cmentarny przewieszonych sykomorów spadała wciąż, stukając leciutko w blachy maski i dachu grubokroplista rosa.

VIII

Magnetofon był rozmiaru płaskiej książeczki, miał mikrofon wpinany w wewnętrzną stronę klapy jak szpilkę i z jedną szpulką wystarczał do nagrania czterogodzinnej rozmowy. Kosztował, bagatelka, dziewięćdziesiąt siedem dolarów, a ja miałem przy duszy niecałych dwieście.

– Drogi panie – powiedziałem do sprzedawcy – jestem człowiekiem interesu i nie lubię kupować kota w worku.

Pokazałem mu moją licencję.

– Może i zdecydowałbym się wziąć to pudełko, ale najpierw muszę je wypróbować. Na jak długo mógłby mi je pan dać?

Miał twarz jak z gumy.

– Nie na dłużej niż 48 godzin, proszę pana – powiedział z przepaszającym uśmiechem. – Bardzo mi przykro, ale sam pan rozumie.

– Rozumiem, rozumiem. To mi wystarczy. Jakaś kaucja?

– Nie, wystarczy mi pana adres i nazwisko..

Podczas kiedy odpisywał je z mego prawa jazdy, wsunąłem aparacik do bocznej kieszeni, a mikrofon przypiąłem, jak przed chwilą pokazał, pod klapą. Drucik przeciągnąłem przez dziurkę od guzika. Rzeczywiście nic nie było widać, a uruchamiało się bądź zatrzymy-

wało maszynkę zwykłym naciśnięciem klawisza poprzez materiał kieszeni; nigdy dotąd nie używałem takiego urządzenia, ale w końcu należało się trochę unowocześnić, tym bardziej że wybierałem się na rozmowę z doktorem Johnstonem – a nie miała to być rozmowa przyjemna.

Wielki elektryczny zegar składający się z tarczy kryształowego szkła, po której chyba jakaś cudowna siła poruszała srebrne wskazówki, bo nie widać było w przezroczystej tafli z pionowymi przecinkami godzin żadnego mechanizmu, pokazywał jedenastą, kiedy wkroczyłem po puszystym chodniku do wielkiego hallu kliniki i powiedziałem portierowi, że w niecierpiącej zwłoki sprawie pragnę widzieć się z doktorem Johnstonem.

Skierował mnie na pierwsze piętro do sekretarki doktora, pani Gladys Pimlerhart. Przyjemnie było na nią popatrzeć. Miała platynowe włosy, nadzwyczaj długie, doskonale spod stolika widoczne nogi, ręce takie, jakby przez całe życie nie zajmowała się niczym prócz ich pielęgnacji, i uśmiech najintymniejszy, jaki można sobie wyobrazić.

Z tym właśnie, nader dla jej dentysty pochlebny uśmiechem powiedziała mi, że doktor Johnston nie będzie mógł, niestety, mnie przyjąć, ponieważ zajęty jest nadzwyczaj ważną sprawą.

– Można wiedzieć, co to takiego? – spytałem z uśmiechem, na jaki było mnie stać.

– Jeśli to pana interesuje – powiedziała jeszcze uśmiechnięta, ale promieniując już lodem – przygotowuje referat na jutrzejsze posiedzenie wydziału internistycznego miejskiej kliniki.

– Czy pan jest lekarzem?

– Wprost przeciwnie – odparłem.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że lekarze ratują ludzi, a ja ich pogrążam – odparłem.

– Które drzwi prowadzą do gabinetu doktora. Te, prawda? – Wskazałem na wspaniałą taflę palisandrową za jej plecami.

– Powiedziała panu, że doktor, niestety, nie przyjmuje dziś nikogo.

Już się nie uśmiechała.

– Proszę pana! – podniosła głos, bo zbliżyłem się do drzwi, obchodząc jej biurczko.

– Nie mam zamiaru wejść – uspokoiłem ją. – Naprawdę.

Z tymi słowami zapukałem dwa razy zrobiłem pauzę, stuknąłem jeszcze dwa razy i po przerwie ostatni raz, mocniej. Patrzyła na mnie. Cofnąłem się o krok. Za drzwiami dał się słyszeć słaby odgłos jakby padającej na ziemię książki i na oczach zdumionej sekretarki drzwi się otwały. Stał w nich doktor Johnston.

- Co to... - zaczął. Uniósł brwi. - To pan...? - powiedział. - Co ma, co miało znaczyć...

Nie dokończył.

- Chcę z panem porozmawiać - odezwałem się spokojnie. Oczy mu rozblęły.

- Niech pan nie wyobraża sobie - zaczął, ale jakby zmitygowany obecnością sekretarki urwał.

- Ale ja nie mogę z panem teraz rozmawiać - powiedział. Stał jednak dalej w otwartych drzwiach.

- Z polecenia pani doktor Zuzanny Washer mam udać się dziś do szeryfa - powiedziałem - w sprawie, która powinna pana zainteresować. Jak się bowiem okazało, Maysters...

- Dosyć. Niech pan wejdzie! - cofnął się do gabinetu. Skłoniłem się stojącej nieruchomo sekretarce i wszedłem. Johnston zamknął za mną drzwi.

- Co pan chciał mi powiedzieć? Ale proszę o zwięzłość, jestem bardzo zajęty.

- Mamy zamiar, to znaczy klientka moja ma zamiar wystąpić do władz o ekshumację ciała... I w związku z tym interesuje się stanowiskiem pana doktora w tej sprawie...

Siadając na foteliku naprzeciw wielkiego okna, nacisnąłem kieszeń i ledwo wyczuwalne drżenie, jakim zamrowił obciążający ją kształt, dało mi znać, że magnetofon już działa.

- Moje stanowisko...? - powiedział Johnston. Stał wciąż jeszcze za biurkiem oparty o nie końcami palców. - Jestem zdziwiony. Tak. Można to tak określić. Jestem zdziwiony - ale nie ekshumacją. O, nie!

- A czym, jeśli wolno wiedzieć?

- Powiem panu, jeśli już do tego doszło. Ale pan odpowie mi najpierw. Przypuszczam, że zaszły jakieś okoliczności, które spowodowały ten krok.

- Jak najbardziej. Trumna wykazuje radioaktywność - powiedziałem. - W połączeniu z chorobą, na jaką zmarł Maysters, wnioski same się nasuwają.

- Zupełnie słusznie - odparł. Wyjął z kieszeni pęk kluczy i podszedł do ściany; obserwowałem go bacznie. Odsunął ledwo widzialną kwadratową kłapkę w boazerii, wetknął klucz, przekręcił go - i otwarły się tam drzwiczki niewielkiego sejfu. Ze stosu papierów wydobyl grubą zapieczętowaną pięciokrotnie kopertę, podszedł do mnie i wręczył mi ją ze słowami:

- Proszę, może pan to otworzyć...
- Co to jest?
- Zobacz pan.

Rozdarłem kopertę. W środku znajdowały się złożone we czworo arkusze zapisane maszynowym pismem. Na górze rozstrzelonymi literami wybity był tytuł „Orzeczenie”.

Przebiegłem po arkuszach wzrokiem. Było to orzeczenie stwierdzające, że M.C. Maysters chory na agranulocytozę przybył do kliniki 7 marca bieżącego roku z rozpoznaniem ciężkiej niedomogi szpiku i anemii leukocytarnej, względnie agranulocytozy; dokładne badanie przeprowadzone 19 marca wykazało bardzo wysokie stężenie radioaktywnych izotopów, które osiadły głównie w kościach długich i płaskich oraz ich jamach szpikowych; punkcja przeprowadzona 8 kwietnia pozwoliła uzyskać substrat do analizy mikrochemicznej, która rozpoznała w owych pierwiastkach radioaktywny stront i wapń wraz z domieszkami innych pierwiastków; w dalszym ciągu orzeczenie podkreślało, iż na obecnym etapie rozwoju medycyny usunięcie owych zgubnych dla ustroju żywego substancji radioaktywnych nie było możliwe, w związku z czym życiu chorego groziła nieuchronna śmierć. Ponieważ chory nie miał rodziny, został poinformowany niezwłocznie o powadze stanu swego zdrowia, wszelako bez wymienienia pierwszej przyczyny, to jest owych ciał radioaktywnych osadu w szkielecie, a to, żeby nie spowodować urazu psychicznego. Przeprowadzono natomiast skrupulatną indagację, z której wynikało, że chory nie zdaje sobie sprawy z faktu, że organizm jego wchłonął tak wielką dawkę ciał promieniotwórczych. Ponieważ anamneza w żadnej mierze nie wskazała na kryminalne pochodzenie tych ciał, kierownictwo kliniki wspólnie z konsultantem specjalistą, profesorem Truteleggiem, uznało, iż nie ma podstaw do powiadomienia prokuratury.

Oprócz doktora Johnstona pod orzeczeniem podpisany był profesor Trutelegge, którego sława była mi znana.

Oszołomiony podniosłem oczy na Johnstona. Siedział za biurkiem, robiąc jakieś notatki.

- Skończył pan? - spytał na szelest odkładanych przeze mnie arkuszy.

- Tak - powiedziałem. - Jednego tylko nie pojmuję: czemu nie zawiadomił pan władz?

- Przez władze rozumie pan prokuraturę? - powiedział. Przyglądał rozplaszczone pasmo czerwonych włosów, które odkleiło się nieco od błyszczącej czaszki.

- Powiem panu dlaczego - sapnął triumfalnie, choć dbał jeszcze wciąż o pozory nobliwego spokoju. - Orientowałem się co nieco w - zakręcił ręką - stosunkach domowych Maystersa. Może to pana zaskoczy, ale znałem też Washera, to znajomość sprzed wielu lat. Oprócz niego w grę wchodziła tylko jego córka.

- W grę wchodziła córka...? Co pan chce przez to powiedzieć?

- To, co mówię! - rzucił niecierpliwie. - Zdziwiło mnie już jej przybycie. Przecież to jasne. Nie mówię niczego przeciw niej, nie znam jej, ale znałem jej ojca. Był to wspaniały człowiek, zapewniam pana. Ale fakty, wymowa faktów! Gdybym powiadomił w swoim czasie prokuraturę, zakończyłoby się to jej aresztowaniem. Czy pan nie jest tego zdania?

Milczałem.

- Nikt inny nie wchodzi po prostu w rachubę, bo nikogo innego nie ma. A przy tym jej specjalność dodałaby jeszcze wagi oskarżeniu.

- Jej specjalność? Pan ma myśli to, że jako lekarka.

- Jako lekarka!? Łaskawco, pan nie wie nawet, jaką specjalność praktykuje pańska klientka!? Jej zawód stanowiłby czynnik obciążający.

- Czy pan ma Zuzannę Washer za morderczynię?

- Nie - powiedział Johnston. - Nie mogę w to uwierzyć, chociaż wszystko zdaje się za tym przemawiać. Być może zaszła tragiczna w skutkach omyłka. Ona go leczyła.

- Ależ leczyła go właśnie na agranulocytozę!

- Wiem o tym... pomyłka mogła zajść wcześniej.

- A zatem zaniechał pan powiadomienia władz, żeby tak powiedzieć, że wspaniałomyślności?

- Tak.

- A dlaczego nie uniemożliwił pan Maystersowi widzenia się z adwokatem?

- Co!?
- Maysters chciał porozumieć się z adwokatem podczas pobytu w pana szpitalu. Zaprzecza pan temu?
- Kto to panu powiedział!?
- Mniejsza o to. Pragnął być może zmienić testament, a pan to udaremnił. Czy zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji swego postępowania?
- Myli się pan – odparł Johnston, który zdołał już zapanować nad sobą. – Obawiałem się, że Maysters oskarży Zuzannę Washer... Stan jego umysłu przedstawiał pod koniec wiele do życzenia... Wypowiedziane pochopnie oskarżenie mogło jej zaszkodzić.
- Jednym słowem, przez cały czas osłaniał pan moją klientkę. Dziękuję panu. A jak zmieści pan w swoim wyjaśnieniu pocziwego Pete'a i jego stalową linkę?

*[– Nie rozumiem, co pan mówi. Co to za Pete?
– Mam w kieszeni jego zeznanie. Dostarczał mu pan marihuany, nieprawdaż?
– Niech pan uważa, młody człowieku, ta bezczelność może się źle dla pana skończyć... Wyczerpałem cały czas, jaki mogłem panu ofiarować. Żegnam.]*

- Co to za Pete?
- Nie będę już zabierał panu cennego czasu – powiedziałem, wstając.
- Żegnam pana.

Zeszedłem po zalanych słońcem schodach i wsiałem do auta, ale przez długą chwilę nie zapalałem motoru. Johnston był górą. Mało tego, że orzeczenie podpisane przez profesora Trutelegge'a oczyszczało go z podejrzeń o zabójstwo Maystersa, skoro rykoszetem kierowało to potworne oskarżenie przeciw Zuzannie!

- To nie może być – myślałem – tkwi w tym jakiś kruczek, jakiś podstęp, trick. Inaczej nigdy nie doszłoby przecież do zamachu na mnie! Ale z orzeczenia wynikało jasno, że Maysters przybył już do kliniki zatruty radioaktywnością – kto był więc sprawcą? Jakiś działający w Nevadzie wysłannik Johnstona? Ale skąd mógł Johnston wiedzieć, że Zuzanna skieruje chorego akurat do jego kliniki? Byłoby to możliwe tylko wówczas, jeśli działaliby wspólnie...

Zuzanna współniczką Johnstona!? Oto, do jakich nonsensownych wniosków doprowadzał mój kunszt śledczy!

Ciekawie, co pocznę, kiedy skończą się pieniądze ukradzione Wathersowi – pomyślałem, ruszając. W redakcji „Morningu” dział naukowy prowadził Sam Thatler, którego poznałem przez Braunera. Nie wierzyłem, że powie mi coś nowego, ale cóż mogło mi jeszcze zaszkodzić w moim rozpaczliwym położeniu?

Zastąpiłem go w gmachu „Heralda”, poprosiłem o kilka minut rozmowy na osobności i opowiedziałem mu – oczywiście bez nazwisk – historię otrucia izotopami radioaktywnymi, tak jak mi się rysowała.

– Co to ma być, powieść sensacyjna? – spytał, kiedy skończyłem.

– Nie, historia jest autentyczna.

– Autentyczna? Ktoś pana nabujał.

– Dlaczego!?

– No, choćby ten film. Powiada pan, że uległ zacierzeniu, bo facet, którego fotografowano, był przesycony radioaktywnością?

– Tak było.

– Nigdy w świecie, kochany. Wie pan, jak wiele pierwiastków radioaktywnych musiałoby w nim tkwić, żeby zaciernił błonę filmową znajdującą się w odległości paru metrów, i to do tego jeszcze wewnątrz fotograficznego aparatu?! Gość świeciłby w ciemności, kochany, a do tego nie mógłby żyć dłużej niż pięć minut!

– Co pan mówi – wybełkotałem.

– A jakże! Zresztą, gdzie on się tego miał nałykać?

– Tego nie wiem. Zaraz, więc ten film nie mógł ulec zacierzeniu w taki sposób? Pan jest tego całkiem pewien?

– Najpewniejszy w świecie. Nikomu pan tego nie sprzeda. To zbyt naiwne.

– Ależ mówię panu, że to prawdziwa historia! – zawołałem zacie-trzewiony. – Co prawda – dodałem spokojniej – ten, kto by mi powiedział, że ją rozumiem, pobili rekord kłamstwa... Czy może mi pan podać dawkę śmiertelną tych izotopów?

– Nie.

– Jak kto?

– Widzi pan, to nie są trucizny w ścisłym sensie tego słowa. Czy może mi pan powiedzieć, wiele rozżarzonego żelaza człowiek musi połknąć, żeby go pochowali?

– Jakież tu podobieństwo?

- Takie, że nie chodzi tylko o ilość tych ciał więc ich wagę, ale o lokalizację w organizmie, o czas działania, o sposób podania i tak dalej, i tak dalej. Pan mówił o agranulocytozie?

- Tak.

- Z tego wynikałoby – ale zastrzegam się, że wszystko, co mówię, to tylko mgliste przypuszczenia – że facet dostał dawkę niezbyt wielką, ale rozłożoną w czasie porcjami.

- Że go truli na raty?

- Tak to wygląda.

- Skąd pan to może wiedzieć?

- Stał, że zachorował na agranulocytozę. Gdyby dawka promieniowania była wielka jednorazowo, nastąpiłby raczej szok popromienny. Ostra choroba promieniowa, wie pan... Czy wypadły mu włosy?

- Nie wiem.

- Niech się pan dowie. Jeżeli nie, przemawia to dodatkowo za zatruciem przewlekłym, pełzającym.

- Czy nie mógł wciągnąć tego z powietrzem? Od czasu do czasu radioaktywność zwiększa się przecież po wybuchach próbnych...

- Nie, to wykluczone. Dawki są zbyt małe. Licznik Geigera wykażał, powiada pan, 0,6 milicurie. I to poprzez drewnianą ścianę trumny?

- Tak.

- Oczywiście, możliwości są różne. Dajmy na to, jakaś porcja substancji radioaktywnej wydostała się z przewożonego pojemnika. Zjadło ją jakieś zwierzę – bo ja wiem, cielę na pastwisku – gdyby Maysters zjadł potem to cielę...

- Tak.

- Dziwne. Bardzo dziwne.

- Co w tym, u licha, takiego dziwnego?

- Widzi pan, wbrew pozorom izotopy radioaktywne nie bardzo nadają się do celów – hm – morderczych. Trzeba je przechowywać w ciężkich, ołowianych pojemnikach, inaczej morderca sam się poparzy i ulegnie radioaktywnemu skażeniu. I co najważniejsze, nadzwyczaj łatwo wykryć je po śmierci, w przeciwieństwie do wielu trucizn organicznych, chemicznych.

Thatler wykladał mi jeszcze jakiś czas o pożytkach i niebezpieczeństwach promieniotwórczości, ale nie powiem, żebym wiele z jego słów skorzystał. Wróciłem do biura zmęczony, oglupiały i w nastros-

ju tak beznadziejnym, że przychodziła mi doprawdy ochota, żeby pojechać na dworzec, wsiąść do odchodzącego byle gdzie pociągu i najwyczejniej od wszystkiego, co narozrabiałem, uciec. Film, który naprowadził mnie na rzeczywistą przyczynę śmierci Maystersa, nie miał z tą śmiercią nic wspólnego!

- Tu trzeba kogoś mądrzejszego od ciebie, kochany - mruknąłem w lusterko, goląc się.

IX

Czy wierzycie w passy? Ja wierzę. Zatrzymałem się przed drzwiami biura, bo w skrzynce leżał list.

Rano go nie było.

Koperta była bez znaczka. Rzuciłem okiem na podpis: Zuzanna Washer. List był krótki. Napisała, że nie może już dłużej być w Nowym Jorku, a co do ekshumacji, to się rozmyśliła po rozmowie z pewnym znajomym lekarzem. Mogłoby to przysporzyć tylko kłopotów, których i tak ma dość. „Mam nadzieję, że nie będzie pan miał do mnie zbyt wielkiego żalu”. To był koniec. Zatelefonowałem na wszelki wypadek do hotelu, ale pokój był już zajęty przez kogoś innego. Wyjechała. „Znajomy lekarz” to był, oczywiście, Johnston. Byłem tego pewny. Powiedział jej to samo co mnie i się przestraszyła. Wyjąłem portfel i przeliczyłem pieniądze. Zostało mi 167 dolarów.

Teoretycznie mogłem jeszcze ciągnąć sprawę sam, bo umowa, którą spisałem z Zuzanną – że jakoby wynajęła mnie dla stwierdzenia przyczyny zgonu Maystersa – nadal pozostawała w mocy, ale żądanie ekshumacji musiałaby podpisać sama, bo nie miałem takiego pełnomocnictwa. Zostawiła mnie na lodzie. Nie mogę powiedzieć, że-

bym był na nią zły – okoliczności rzeczywiście były dla niej niekorzystne, żeby nie powiedzieć więcej. Wypaliłem przy biurku kilka papierosów. Czasu miałem dosyć.

{Sam Morderzec telefonicznie, który zabić go chciał, przeto stąd go zna, afreskę, telefon, więc żąda, aby on Mayfair 765 i tam dolary, ale rożkę urwany, za kupowanie szkieł anastygmatycznych u optyków, rodzaj szkła poda – wielu u optyków różnych, aby kup, te; wtedy dużo dolarów.

Rozmowa ta będzie jego mikromagnetofon nagrana, ale magnetofon odda i dopiero potem policja się dowie, że na szczęście nie sprzedany i że dowód jest w sklepie!}

Zadzwoił telefon.

– Robert Cavish? – odezwał się męski głos.

– Tak.

– Pan jest detektywem, co?

– Tak.

– Chciałbym, żeby pan coś dla mnie zrobił.

– Chętnie – powiedziałem. – Czy mam do pana przyjść?

– Nie. Wyjeżdżam zaraz na lotnisko. Ale do tego nie musimy się nawet widzieć. Widzi pan, sprawa jest taka. Prowadzę firmę eksportową i mam cichego wspólnika. To znaczy, cały interes opiewa na moje nazwisko i ja płacę podatki, ale on uczestniczy w zyskach. To, co mówię, jest ściśle poufne, rozumie pan?

– Rozumiem.

– Doskonale. Otóż podejrzewam, że mój wspólnik prowadzi za moimi plecami jakieś pertraktacje, które nie są całkiem czyste. Moja firma mieści się w San Francisco i tam mieszkamy obaj – ja i mój wspólnik.

– Tak.

– Jestem właścicielem Metrical Glass Co. Produkuję szkła optyczne, a specjalnie – szkła wysokiej jakości do okularów. Czy zna się pan na tym?

– Nie – powiedziałem.

– To nie szkodzi. Ja się znam. Otóż sytuacja na rynku jest taka, że Japończycy usiłują wypierać nasze szkła, ale publiczność żąda raczej naszych, bo są wyższej jakości, i przez to, rozumie się, droższe. Jednakże w ostatnim miesiącu nasze obroty znaczne spadły,

choć według posiadanych przeze mnie danych import japońskich szkieł wcale się nie powiększył. Otrzymałem poufną informację, że pewna firma japońska weszła w ciche porozumienie z jakimiś optykami w Nowym Jorku, którzy sprzedają jej szkła w naszych opakowaniach firmowych. Rozumie pan?

– Rozumiem.

– Angażuję pana po to, żeby pan obszedł wszystkich optyków w Nowym Jorku i kupił u każdego po jednym szkłe do okularów. Musi to być specjalny rodzaj szkła. Bliższe szczegóły otrzyma pan osobno. Nie chcę tego robić sam ani przez moich ludzi, bo chodzi o to, żeby żaden optyk nie domyślił się, że przeprowadzam takie dochodzenie. Mogłoby mi to popsuć z nimi stosunki. Niezbędna absolutna dyskrecja, musi pan występować jako zwyczajny, najzwyczajniejszy klient, który po prostu kupuje szkło do okularów. Czy to jest jasne?

[– Tak – powiedziałem – ale to będzie pana kosztować. Mój czas jest droższy od czasu jakiegoś urzędnika, który zrobiliby to, czego pan ode mnie żąda.

– To moja rzecz – powiedział. – Zastanawiałem się nawet nad tym, czy nie wynajmując jakiegoś aktora, bo chodzi o odegranie pewnej roli, ale doszedłem do wniosku, że prywatny detektyw będzie lepszy. – Pana obowiązuje przecież tajemnica zawodowa tak samo jak adwokata, prawda?

– Tak – powiedziałem – To prawda.

– Więc godzi się pan?

– Dobrze – powiedziałem. – Jak się... Kiedy mam to zacząć?

– Zaraz. Przyjedzie pan na Mayfair 617. Mnie tam już nie będzie, bo – jak panu powiedziałem – jadę na lotnisko. W bramie jest skrytka pocztowa. Będzie otwarta. Znajdzie pan w niej kopertę. W kopercie będzie 500 dolarów i na osobnej kartce dane dotyczące tego rodzaju szkła, które pan ma kupować. Listę optyków wypisze pan sobie z książki telefonicznej. Jedno szkło kosztuje około dwóch dolarów. Może pan wydać na szkła do trzystu dolarów, reszta będzie pańskim honorarium.]

– Tak – powiedziałem. – Poradzę panu coś. Niech pan weźmie do tego jakiegoś studenta. Numer bursy znajdzie pan w książce, będzie to pana kosztowało dziesięć razy mniej.

- Dobrze, że mi pan to powiedział. Polecono mi pana jako człowieka uczciwego i widzę, że się nie omyliłem. Nie musiałbym nigdzie dzwonić, mam dosyć urzędników. Zwróciłem się do pana dlatego, bo pan będzie milczał. Jestem pana klientem. Pana obowiązuje tajemnica zawodowa tak samo jak adwokata, prawda?

- Tak - powiedziałem. - Jeżeli patrzeć na to od tej strony, zgadzam się. Kosztuję 25 dolarów dziennie, nie licząc wydatków na benzynę. Kiedy mam zacząć?

- Zaraz. Przyjedzie pan na Mayfair 617. Proszę nie dzwonić do bramy, mnie tam już nie będzie. Mam samolot za dwadzieścia minut. W bramie znajdzie pan kopertę. Będzie w niej kartka z danymi dotyczącymi szkła, którego pan ma żądać. U każdego optyka kupi pan jedno szkło. To jasne?

- Jasne. Co mam z nimi zrobić?

- Będzie tam jeszcze 500 dolarów - rozliczymy się później, kiedy wrócę. Wszystkie szkła proszę włożyć do koperty i zostawić w tej samej skrytce pocztowej, Mayfair 617.

- Jestem pańskim człowiekiem - powiedziałem. - Jeszcze jedno: jak się pan nazywa?

- Faulkner. William Faulkner. Niech pan zacznie zaraz. Do widzenia.

- Czy mam kupować od wszystkich optyków bez ograniczeń - zacząłem, ale odwiesił już słuchawkę. Posiedziałem chwilę przy biurku, rozpatrując to, co mi powiedział. Trochę było to niecodzienne, ale tylko trochę. Pięćset dolarów mogło dla niego znaczyć mniej od pewności, że się to nie rozejdzie. Co prawda nie pracowałem na ogół dla przemysłowców, nie byłem specjalistą. W naszej branży panuje daleko posunięta specjalizacja. Jeżeli jednak chciał mnie i płacił - dlaczego nie miałem się zgodzić? Sprawa Maystersa w zasadzie w ogóle już nie istniała. Pomyślałem przez chwilę o Zuzannie. Samolot, którym poleciała, pewno już wylądował - i jechała teraz do swego wielkiego, pustego domu. Zeszedłem na dół, wsiadłem do auta i pojechałem na Mayfair 617.

Był to szary, kamienny dom na skraju dzielnicy handlowej, z kariatydami dźwigającymi ciężkie gzymsy sześciu pięter. Brama wyglądała na zamkniętą, ale uchyliła się, gdy pchnąłem mosiężną sztabkę. W chłodnej sieni znajdowała się naprzeciw schodów blaszana skrzynka na ścianie. Zajrzałem do niej. Wieczko dało się unieść. W środku leżała wypchana brązowa koperta z manilowego papieru

przewiązana sznurkiem bez żadnego napisu. Ostrożnie naderwałem krawędź i zobaczyłem zielone rożki banknotów. Złożyłem ją we dwie, wsadziłem do kieszeni i wróciłem do auta.

Może spowodowały to jego napomknienia o tym, że sprawa musi być traktowana poufnie, a może coś innego – dosyć, że odjechałem zaraz i dopiero zatrzymawszy się na bezpłatnym parkingu Hiltona, zająłem się na dobre zawartością koperty. Było w niej pięć studolarowych banknotów i wyrwana z bloku kartka z wydrukowanym atramentowym napisem:

SZKŁO SFERYCZNE – -10,5, CYLINDER – -6,75, DYMNE. Nic więcej. Poszedłem do automatu telefonicznego, ale optyków było w książce tyłu, że wypisanie ich adresów zabraloby mi godzinę. Pojechałem więc na główną pocztę i kupiłem tegoroczny egzemplarz branżowej książki adresowej i plan Nowego Jorku. Naznaczyłem na nim atramentem pierwszych trzydziestu optyków z listy i zacząłem moją pielgrzymkę. Pierwszy, na Midnran Square, miał to szkło. Kupiłem je i poszedłem do następnego pieszo, bo sklep znajdował się o jakichś sto kroków dalej. Ten nie miał takiej soczewki na składzie. Chciał mi ją zamówić, z tym że odebrać będę ją mógł nazajutrz. Znalazłem się w kłopotcie, bo nie wiedziałem, czy mam się na to zgodzić. Ostatecznie zapłaciłem z góry i wróciłem do auta. Rychło okazało się, że więcej czasu zajmuje mi znalezienie miejsca na zaparkowanie wozu aniżeli wizyty u optyków, zostawiłem więc buicka pod domem towarowym na rogu Pimpson Street i w dalszą drogę wyruszyłem pieszo. Do siódmej, to jest do zamknięcia sklepów, skreśliłem dziewiętnaście nazwisk z mojej listy. Soczewek dostałem czternaście – u pozostałych optyków zamówiłem je.

Nie miałem co zrobić z resztą wieczoru, pojechałem więc do Braunera. Nie było go w redakcji. Faceta, który go zastępował, nie znałem. Rozgardiasz panował w „Heraldzie” większy niż zwykle; u telefonów wisieli ludzie, atmosfera była naładowana burzową elektrycznością – od razu poznałem, że stało się coś grubszego.

– Gdzie Brauner? – spytałem.

– Wszyscy chłopcy pojechali na bulwar Placid – powiedział. – Jakaś godzinę temu przyszła wiadomość.

– Jaka wiadomość?

– Trup. Zamordowano jakąś dziewczynę. W sam raz, bo takiego sezonu ogórkowego jak w tym roku chyba jeszcze nie było. Widział pan przecież sam, cośmy dawali na pierwszej stronie, nie?

- Gdzie? - spytałem.

- Bulwar Placid.

- Co!? W którym miejscu?

Przy tym bulwarze stała lecznica Johnstona.

- Na samym końcu. Wie pan, gdzie jest to stare wesołe miasteczko?

- Te sparszywiałe budy?

- Te sparszywiałe budy, tak. Leżała w beczce śmiechu.

- Co za jedna? Tam już chyba nic teraz nie ma?

- Więcej niż od roku. Właściciel zwinął manatki i znikł, a miasto nie chciało rozbierać tego świństwa. Myśleli, że ktoś się złakomi na to z przetargu, ale nikt nie wpłacił nawet wadium. To kupa zgnilych desek, nic więcej.

- Ale teren jest coś wart... Co to za jedna? - powtórzyłem.

- Kiedyś będzie wart - zgodził się. - Nie wiem nic, siedzę i czekam na telefon. Zatrzymałem cały skład.

- No, to przeczytam o tym jutro - powiedziałem. - Dobrej nocy. Pojechałem do siebie. O tym morderstwie rychło zapomniałem.

Zachciało mi się zjeść normalną, ludzką kolację. Kupiłem więc na rogu jaj, sera i wędzonki, żeby zrobić sobie jajecznicę. Dobrą jajecznicę nie jest tak łatwo zrobić. Należę do tych, którzy mają własne recepty. Włączyłem telewizor, żeby nie myśleć za wiele, i patrząc trochę w jego stronę przez otwarte drzwi mojej małej kuchenki, krzątałem się przy elektrycznej kuchence. Nie byłem z siebie zadowolony. Jak obliczyłem, z tych pięciuset dolarów powinno być zostać dla mnie około dwustu, może trochę mniej. Suma zbyt wielka, żeby z niej zrezygnować, a zbyt mała, żebym mógł zwrócić to, co ukradłem Washerowi. - Będę musiał odłożyć, w końcu mi się uda - pomyślałem. Bałem się, że przywyknę do tego małego wyrzutu sumienia i będę ten symboliczny zwrot pieniędzy traktował z coraz lżejszym sercem i coraz bardziej abstrakcyjnie. Telewizor i te myśli spowodowały, że przypaliłem w końcu jajecznicę, ale zjadłem ją, bo byłem głodny, a nie chciało mi się zaczynać wszystkiego od początku. Tak skończył się ten dzień.

Wstałem o ósmej rano, sam, bez budzika, i po śniadaniu zaopatrzonej w książkę adresową i plan miasta wyruszyłem do optyków. Okropnie mnie ta łazęga nudziła, a już wprost gadać mi się nie chciało, bo czułem się, jakbym był płytą gramofonową powtarzającą wciąż, nieznużenie jeden i ten sam tekst: „Dzień dobry. Potrzebuję jedne-

go szkła do okularów. Minus 10,5 dioptrii, cylinder minus 6 i 75 setnych. Ma pan takie szło? Tak? Proszę mi dać. Nie, nie trzeba pakować. Nie? Zamówi mi pan? Dobrze...”.

Dwudziesty pierwszy czy może dwudziesty drugi z rzędu optyk – było to koło południa i liczba już mi się myliła – mały, zaszuszony, w białym chałacie, kiedy wyrecytowałem mój tekst, zamiast jak wszyscy inni odwrócić się do ściany swoich szufladek, żeby znaleźć właściwą soczewkę, podniósł powoli oczy i popatrzył na mnie nadzwyczaj uważnie. W jego wzroku było coś, co mnie nieprzyjemnie tknęło.

– Jak proszę? Jak pan powiedział? – rzekł cicho.

Powtórzyłem.

– Tak? – powiedział. – Aha. Szkło, znaczy, astygmatyczne. Dla pana może?

– Dla mnie – powiedziałem. – A co? O co chodzi? Nie ma pan na składzie? To proszę zamówić. Odbiorę jutro.

– Zdaje się, że mam... ale nie tu. Tam – zrobił nieokreślony ruch ręką w stronę przepierzenia o wpółuchylonych drzwiach, za którymi paliła się osłonięta niebieskim abażurem lampka.

– Proszę spocząć... – wychrypiał. – Jedna chwila...

Pokuszykał za przepierzenie. Jego zachowanie zastanowiło mnie. A właściwie nie to, co zrobił, ale jak to zrobił. Wyczułem w nim niezrozumiałe napięcie, jakby poczuł we mnie dynamit, a już nadzwyczaj nie spodobało mi się to, że zamknął za sobą drzwi. A gdy się odemknęły, dociągnął je pospiesznie ręką, jakby chciał się koniecznie odizolować ode mnie. Po co?

Dwa razy przeszedłem od kontuaru do ściany, a potem, zdecydowawszy się nagle, ruszyłem w ślad za nim i zatrzymałem się tuż przy pokrytych dermatoidem deskach przepierzenia. Nie sięgało stropu.

– Policja? – usłyszałem głos starego. – Czy to policja?

Być może zrobiłem wówczas wielkie głupstwo. Być może powinienem był siedzieć i czekać spokojnie jego powrotu, ale w głowie odezwały mi się wszystkie naraz dzwonki alarmowe i stary nawyk – żeby nie dać się zaskoczyć wypadkom, jeśli ich nie rozumiem, ale najpierw przemyśleć wszystko na własną rękę – zaczął już działać. Jak gdyby nie przerywając mej przechadzki, ruszyłem w kierunku drzwi wiodących na ulicę. Akurat wszedł do sklepu jakiś człowiek. Wyminałem go i wyszedłem. Auto miałem dość daleko, parkowało o dwie przecznice dalej. Doszedłem do niego, nie przyspieszając kroku,

i wsiadłem. Nie zapaliłem motoru. Czekałem dobrych pięć minut, ale nie usłyszałem nic. Spodziewałem się syreny policyjnej? Nie wiem. Ale wiedziałem, że stary optyk dzwonił w mojej sprawie – o to szkło.

Co się stało? Nie miałem najbledszego pojęcia, ale czułem, że sprawa jest poważna. Rozważyłem, czy nie pójść do Braunera – może on coś wiedział? Nie mogłem jednak tego zrobić, obowiązywała mnie dyskrecja wobec klienta. Nie, nikogo nie mogłem się poradzić.

[Musiałem iść do następnego optyka. Obsłużył mnie, jak gdyby nigdy nic. Zaproponował jeszcze nowy model oprawy do okularów, bardzo lekkiej, irchę do przecierania szkieł i niezrażony tym, że odmówiłem, usiłował mnie zainteresować szklami kontaktowymi. Był to ostatni optyk w tej dzielnicy. Przekreśliłem ją na planie miasta i pojechałem do centrum. Pierwszy sklep mieścił się przy głównej ulicy...]

Nie było innej drogi, musiałem iść do następnego optyka. Zrobiłem to. Miał sklep przy głównej ulicy – wielki, urządzony nowocześnie, trzech sprzedawców, młodych, jakby dopiero co wykąpanych ludzi w białych lśniących płaszczach odpowiedziało na moje pozdrowienie.

„Potrzebne mi są szkła do okularów” – powiedziałem. Dlaczego powiedziałem „szkła”, a nie szkło? Nie wiem – podszeptała mi to chyba ostrożność. Patrzałem uważnie na tego, do którego mówiłem. Kiedy usłyszał, jakie to ma być szkło – drgnął. Wydało mi się, że pobladł trochę, ale to mogło być złudzenie. To jednak, że spojrzął na drugiego, który stał za moimi plecami – bo sklep miał dwie lady, jedną naprzeciw drugiej – nie było złudzeniem.

– Jak proszę...? – powiedział niewyraźnie. – Przydymione...? Tak, tak... zaraz...

Zaczął wyciągać szufladki. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, że tego, który stał za drugą ladą, już nie było. Ze sklepu nie wyszedł, musiał przejść do tylnych drzwi. Ten przy szufladkach grzebał się, jakby nigdy w życiu nie sprzedawał szkieł. Małe białe koperty z soczewkami przekładał z przegródki do przegródki.

[– Co z tym szkłem? – spytałem i sam się zdziwiłem na dźwięk mego głosu. Młodzieniec drgnął. Ramiona skurczyły mu się. Zerknął na mnie tak, jakby spodziewał się zobaczyć wycelowany w siebie rewolwer.]

– Ja, ja zaraz – to – zaraz – wybelkotal i prawie biegiem skoczył do tylnych drzwi sklepu. Co miałem robić? Rzecz oczywista – wyszedłem, ale tym razem nie do auta. Zacząłem przechadzać się po przeciwnej stronie ulicy, obserwując bacznie sklep optyczny. Syreny i tym razem nie było, ale może po dziesięciu minutach zajechał tam ciężki czarny pontiac i dwóch ludzi, w których na dziesięć mil można było rozpoznać detektywów, weszło szybko do środka. Zabawili niedługo, najwyżej dwie-trzy minuty. Kiedy się ukazali, był z nimi sprzedawca w białym płaszczu – ten, który mnie obsługiwał. Schowałem się do bramy, przy której stałem. Podszedł do brzegu chodnika – obaj detektywi nie odstępowali go – rozejrzał się i powiedział coś do nich, robiąc przeczący ruch głowy. Mówili z nim jeszcze chwilę, potem sprzedawca wrócił do sklepu, a oni wsiadli do policyjnego auta, które odjechało.

Jedno było zatem jasne: o dalszym odwiedzaniu optyków nie było co myśleć, jeśli nie chciałem się znaleźć na policji. Niezależnie od tego, czego szukała policja, musiałbym złożyć wyjaśnienia, a tym samym nazwać mego klienta, a zależało mu przecież na tajemnicy. Znalazłem się w kropce.]

{prywatny znajomy w crime. invest. dept. sierżant/policjant/detektyw Brumm Brownings. Idzie do Niego – tajemnica? odkryta?!

srebrzyścik siwy detektyw. Aresztowanie faceta. Komen-da CID. rekonstrukcja zbrodni. Mówi co i jak. Facet, który zabił, zna się na rzeczy: wybierał drzazgi szklane rozdeptanej soczewy, ale nie wszystkie. Eksperci zrekonstruowali. Na szczęście parę dni później już by to optykom w głowach zamąciło całkiem.

Zaduszona nylonami nienoszonymi! Jej własne zabrał. Dolary okażą się Maystersa!

Forsę muszę mu zabrać!

Jest wyznaczona przez? nagroda za ujęcie mordercy: 5 tysięcy.

Optyk, czy to ten facet?

Bankier, czy to ten facet? Tak, prawdopodobnie.

Morderca jest podobny do pana!

Mordercą jęz pielęgn, który go chciał zabić, linką i jeszcze jeden inszy zamach wymyślić trza.

On ukradł 10 000, ale kto zaczernił film??

/codzienny utarg soczewek miał zanieść, zaniósł w pierwszym dniu!/{

- Co z tym szkłem - spytałem. Sprzedawca drgnął. Twarz jego przybrała wyraz szczególnego oczekiwania. Ktoś zbliżył się do mnie z tyłu. Nim zdążyłem się odwrócić, chwycono mnie z dwu naraz stron za ręce.

- Pan pozwoli z nami.

W mężczyznach, którzy stali przy mnie, na milę można było rozpoznać detektywów.

- Co to ma znaczyć...? - obruszyłem się.

- Spokojnie - powiedział wyższy. Trzymali mnie mocno, ale tak, że nie wzbudziło to zainteresowania, kiedy wyszliśmy razem na ulicę. Przed sklepem stał ciężki czarny pontiac. Najpierw wsiadł wyższy detektyw, potem ja, na końcu drugi. Kiedy wóz ruszył, ten drugi założył mi na prawą rękę kajdanki i zatrzasnął drugą bransoletę na własnym przegubie.

- O co chodzi? - spytałem. Żaden nie odpowiedział.

- Dokąd jedziemy? - spróbowałem jeszcze, ale i na to pytanie nie otrzymałem odpowiedzi. Jechaliśmy bez syreny na Mumber Drumber, do wydziału śledczego. Pojechaliśmy na trzecie piętro - tu, w pustym pokoju, w którym stały tylko dwa biurka i parę drewnianych krzeseł, detektyw, który był ze mną skuty, rozpiął kajdanki. Jeszcze przedtem, w aucie, obmacali mnie powierzchownie, czy nie mam broni. Teraz kazał mi wyłożyć zawartość wszystkich kieszeni na biurko.

- Za co jestem aresztowany? - spytałem.

- Dowie się pan w swoim czasie - odpowiedział. Spisał wszystkie przedmioty, które bez oporu wyłożyłem na biurko; osobno odłożył moją licencję i prawo jazdy. Tymczasem przyszło dwóch innych ludzi; nie znałem żadnego z nich, ale wiedziałem, że w końcu prędzej czy później zetknę się z Drummondem, który był porucznikiem detektywem i z którym pracowałem jakiś czas w Chicago przed czterema laty. Dlatego, rozumiejąc, że wszelkie stawianie się może obrócić się tylko przeciw mnie, zachowywałem się potulnie jak baranek. Koperta z soczewkami - było ich tylko pięć, bo resztę zostawiłem w aucie, które w dalszym ciągu parkowało na Hops Clops - wzbudziła cichą sensację. Pilnowali się jednak bardzo, żeby mi czegoś niechcący nie powiedzieć - porozumiewali się półsłówkami. W gmachu nie było wydziału śledczego, nie było żadnych cel - i o tym wiedziałem. Zostawili mnie z pustymi kieszeniami w asyście jednego detektywa, tego samego, który mnie przedtem skuł, a teraz kazał mi

siaść na krzesła, w kącie, twarzą do ściany. Siedziałem tak może kwadrans, aż drzwi się otwały i usłyszałem głosy z korytarza.

- Nie odwracaj się - powiedział spokojnie mój dozorca i niemal równocześnie rozległ się zdziwiony głos Drummonda:

- Cavish! To on? - zwrócił się do kogoś, kto był z nim.

- Tak jest, to ja - powiedziałem. - Czy mogę się odwrócić, czy też pański człowiek nafaszeruje mnie za to ołowiem?

- Może się pan odwrócić - powiedział. Zrobiłem to razem z krzesłem, bo nogi bolały mnie od całodziennego chodzenia. Drummond miał bardzo charakterystyczny wygląd - przy jakichś trzydziestu pięciu latach twarz miał pociągłą i gładką, młodzieńczą prawie, ale włosy zupełnie siwe, choć bujne, gładko zaczesane. W Chicago pracował jako sierżant detektyw z podinspektorem Crommerem, który był też siwy, ale siwizną bardziej żółtawą - nazywano ich „Srebrzyści”.

- Włazł pan w paskudną historię, Cavish - powiedział Drummond, biorąc z rąk detektywa, który mnie pilnował, krzesło i siadając o krok ode mnie, tak że ledwo ćwierć metra oddzielało nasze kolana. Zauważyłem, że z boku za biurkiem usiadł stenograf.

- Tak to wygląda - odparłem. - Pan prowadzi tę sprawę?

- Tak.

- No, to już o połowę jest mniej paskudna - powiedziałem. - O co właściwie chodzi, poruczniku? Co to wszystko znaczy?

- To ja panu muszę zadać takie pytanie.

- Mnie? A co ja takiego zrobiłem? Pańscy ludzie aresztowali mnie u optyka, nie robiłem tam nic złego...

- Co pan robił u tego optyka?

Zastanawiałem się może sekundę nad odpowiedzią. Stenograf pisał. To było normalne przesłuchanie, a nie towarzyska rozmowa mająca wyjaśnić nieporozumienie. Gdyby rzecz była błaha, Drummond nie rozpocząłby jej tak oficjalnie, ale najpierw pogadał ze mną zwyczajnie w cztery oczy. Czulem, że będę musiał wydać mego klienta, ale postanowiłem się bronić, jak długo się da.

- Kupowałem szkło do okularów - odparłem. - Co innego można robić u optyka? Przecież pan mnie zna nie od dzisiaj, Drummond. Pańscy chłopcy co innego, ale pan? Dlaczego nie powie mi pan zwyczajnie, o co chodzi?

- Do czego było panu potrzebne to szkło? - spytał, jakby nie usłyszał nic więcej. Zmrużyłem oczy.

- Do czego? Do okularów. .
- Niech pan uważa, Cavish... Dla kogo kupował pan te szkła?
- Dla klienta.
- Jak się nazywa ten klient?
- Odmawiam odpowiedzi.
- Ach tak?
- Tak. Pan wie przecież, że obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.
- Ale nie w takiej sprawie.
- Kiedy nie wiem, co to za sprawa - wzruszyłem ramionami.
- Pańscy ludzie nie powiedzieli mi, za co mnie aresztują. Pan tego też nie zrobił, poruczniku.
- Zaraz panu powiem - rzekł. Wszedł wyższy detektyw, ten, który mnie aresztował, i nachyliwszy się nad Drummondem, powiedział mu coś na ucho. Drummond podniósł brwi.
- Na pewno? - spytał głośno.
- Na pewno. Sprawdzone dwa razy.
- W jaki sposób wszedł pan w posiadanie pieniędzy, które przy panu znaleziono? - spytał mnie Drummond.
- Teraz pana kolej. Miał mi pan powiedzieć, za co ja zostałem aresztowany.
- Niech pan odpowie na pytanie!
- Dobrze. Dostałem je od klienta - powiedziałem. - Ale nie wiem już ani słowa, dopóki się nie dowiem, o co właściwie chodzi!
- Pan dobrze wie, o co - powiedział Drummond. - Jak mógł pan być takim osłem, Cavish? Kiedy pracowałem z panem, był pan jeszcze uczciwym człowiekiem! Teraz nie wykręci się pan, nie widzę pana na wolności wcześniej niż za pięć lat, a i to w tym jedynie wypadku, jeżeli przestanie pan odstawiać swoje sztuczki i natychmiast złoży wyczerpujące zeznanie.
- O co jestem oskarżony? - spytałem.
- O współudział w morderstwie. Zaspokoilem pana ciekawość? Będzie pan mówił?
- Nikogo nie zamordowałem. Ani nie pomagałem zamordować - odparłem. - I w dalszym ciągu nic nie rozumiem. Co ma jakieś morderstwo, o którym nic nie wiem, wspólnego z tym, że kupowałem szkła u optyka?
- Szkła pan kupował, co? - podchwycił Drummond. - Czterdzieści siedem soczewek i wszystkie takie same. Może mi pan opowie, że chciał pan otworzyć skład z okularami?

- Działalem na zlecenie klienta - odpowiedziałem wolno. Mieli już mój samochód i zrewidowali go. Nie mogłem powiedzieć, żeby się nie uwijali.

- Tylko niech pan sobie nie wyobraża, że licencja coś panu pomoże, Cavish! Pański tak zwany klient to morderca, a pan pomagał mu w oszukaniu władz przez fałszowanie dowodów rzeczowych!

- Nareszcie coś bardziej konkretnego - powiedziałem. - Jeżeli mi pan udowodni, że mój klient jest mordercą i że to zlecenie, które mi dał, stoi w związku z popełnionym przez niego czynem, nie będę go dłużej chronił. Jak długo pan tego nie robi, odmawiam wyjaśnień.

- On odmawia wyjaśnień! Pan oszalał chyba, Cavish! Ja mam panu udowodniać...? To pan musi nam udowodnić, że działał pan w dobrej wierze, tak jak pan chce, żebyśmy wierzyli! Co tam? - zwrócił się do detektywa, który wszedł. Był to ten sam, który mówił już z nim cicho przed chwilą.

- Kasjer przypomniał go sobie - powiedział detektyw. - Cavish pokazał mu swoją licencję. Był w banku jakieś cztery dni temu. Wypytał kasjera o dziesięć tysięcy dolarów z konta Maystersa, usiłował wejść w posiadanie tych pieniędzy...

- I co pan teraz powie? - spytał po chwili milczenia powszechnego Drummond.

- Zaraz - powiedziałem. - To całkiem inna historia. Rzeczywiście byłem w banku, ale wtedy działałem z polecenia innej osoby. Jej nazwiska nie widzę powodu ukrywać, bo sprawa przestała być aktualna. Była to doktor Zuzanna Washer. Zaangażowała mnie, żebym wyświeilił okoliczności towarzyszące śmierci przyjaciela jej ojca Cyryla Maystersa. W liście, który Maysters wysłał do starego Washera, napisał on, że złożył w Banku Centralnym depozyt w wysokości 10 000 dolarów. Właśnie w sprawie tego depozytu byłem przed czterema dniami w banku. Okazało się, że te pieniądze podjął ktoś czekiem Maystersa. Tyle się dowiedziałem. To nie ma nic wspólnego ze sprawą tych szkieł, optyków i mego zatrzymania.

- Nie ma nic wspólnego? - spytał cicho Drummond. - Pan twierdzi, że pieniądze, które przy panu znaleziono, dał panu inny, całkiem nowy klient, tak?

- Tak. To prawda.

- Więc może mi pan wytłumaczy, w jaki sposób są to te same banknoty, który zostały podjęte z konta Maystersa?

– Nie może być! – zawołałem. – Te same banknoty? Skąd pan to wie?

– Niech pan nie udaje niewiniątka, Cavish. To się panu nie uda. Bank wynotowuje numery wszystkich studolarowych banknotów, które idą do wypłaty. Pytam po raz ostatni: złoży pan wyczerpujące zeznanie czy nie?

– Teraz tak – powiedziałem. – Przyjmuję to, co pan powiedział o tych banknotach, za prawdę. Historia jest całkiem prosta. Przedwczoraj koło południa zgłosił się do mnie telefonicznie facet, który podał się za F.C. Hartleya, producenta soczewek...

Opowiedziałem wyczerpująco naszą rozmowę, zawarte porozumienie i to, jak wzięwszy ze skrytki pocztowej kopertę z pieniędzmi, zacząłem obchodzić wszystkich po kolei optyków. Muszę przyznać, że nie brzmiało mi to samemu tak wiarygodnie, jak bym chciał. Na poparcie moich słów nie miałem literalnie nic – nie wiedziałem nawet, jak ów tak zwany Hartley wygląda. W innych okolicznościach, gdybym nie był tak przyciśnięty pod względem finansowym, na pewno nie wziąłbym tak pochopnie sprawy w gruncie rzeczy leżącej poza moimi kompetencjami. Jeżeli ja to czułem, cóż dopiero Drummond.

– I pan chce, żebym w to uwierzył, Cavish? – powiedział Drummond, kiedy skończyłem. – Nieznany facet, nie wiadomo skąd pochodzący pieniądze, żadnego świadka.

– Ależ jakiego świadka mógłbym mieć, na miłość boską! – zawołałem. – Przecież mówię panu, że on telefonował. Powiedział, że ma za 20 minut samolot do Chicago. Okazał się wspaniałomyślny: zostawił mi 500 dolarów do rozliczenia, bez żadnego kwitu, a to, czego ode mnie żądał, wyglądało całkiem przyzwoicie. Mówię panu, że nie znam się na tych optycznych interesach, i jemu to samo powiedziałem, ale upierał się, że chce mnie zaangażować! W końcu po to przecież siedzę w moim biurze i czekam, płacę podatki, więc dlaczego nie miałem się zgodzić?

– Przez wzgląd na naszą współpracę w Chicago może bym i spróbował panu uwierzyć – powiedział Drummond. – Ale pozostaje jeszcze ten kasjer, który przypomina sobie pana, Cavish. Z tego się pan tak łatwo nie wymiga. Twierdzi pan, że nic pan nie wiedział o tak zwanym Hartleyu aż do przedwczoraj, ale przed czterema dniami interesował się pan kontem Maystersa, a pieniędzmi z jego właśnie konta zapłacił panu ten Hartley. To zbyt dziwny przy-

padek, aby naprawdę mógł być przypadkiem. No niech się pan zastanowi, Cavish. Do kogoś innego nie mówiłbym w ten sposób i nie zadawałbym sobie tyle trudu. Pan jest przecież inteligentnym człowiekiem. Niech pan sobie wyobrazi, że siedzi pan na moim miejscu. Uwierzyłyby pan w tę historię o cudownym przypadku, który sprawia, że w ośmiomilionowym mieście zachodzi taki cudowny zbieg okoliczności?

Milczałem.

– Widzi pan. Więc niechże pan wysypie wszystko, co siedzi w środku, Cavish...

– Niech to diabli wezmą! – wybuchnąłem. – Kiedy ja naprawdę nic więcej nie mam do powiedzenia. Przypadek? Nie, to nie może być przypadek. Poruczniku Drummond, mogę zrobić panu taką propozycję. Przedstawię panu dokładnie, od początku, całą tę poprzednią aferę, która spowodowała, że byłem w tym przeklętym banku, i w ogóle wszystko, co wiem, ale pod jednym warunkiem: że potraktuje pan to konfidencjonalnie.

– Co to ma znaczyć? – spojrzał na mnie ostro Drummond.

– Nic złego. Po prostu tamta sprawa została umorzona. Jeżeli obieca mi pan, że nie zrobi użytku oficjalnego z tego, co powiem, jestem pańskim człowiekiem.

– Pan zwariował chyba, Cavish. Oskarżenie się rozszerzyło. To już nie jest tylko współudział w zbrodni PO jej popełnieniu, tak jak sam myślałem na początku tego przesłuchania. Zeznanie kasjera zmienia cały obraz. Pan wszedł w kontakt z tą sprawą jeszcze, ZANIM zostało dokonane morderstwo. Tym samym oskarżenie... I w tej sytuacji pan waży się stawiać mi jeszcze jakieś warunki?

– Tak. Muszę to zrobić. Klient, który powierzył mi poprzednią sprawę, to bogu ducha winna osoba. Nie dość, że nie udało mi się tamtej sprawy doprowadzić do pomyślnego końca, to jeszcze miałbym wciągnąć klienta, któremu nawet nie pomogłem, w moje obecne tarapaty? Niechże się pan zastanowi, Drummond! Nie mogę tego zrobić, choćbyś mnie pan miał posiekać na kawałki. Jeżeli wypalam wszystko i oczyszcze się, to moja reputacja stanie się znakomita. Jeżeli jesteście w potrzebie, idźcie do Roberta Cavisha, znakomitego detektywa prywatnego, a do 24 godzin będziecie mieli dom pełen policji kryminalnej i wszystko wyrócone do góry nogami! Niech się pan zgodzi na moją propozycję, Drummond. Przecież ja nie żądam nietykalności dla nikogo, kto jest winny zbrodni. Chodzi mi po pro-

stu o ochronę mego poprzedniego klienta przed rozgłosem, prasą i o zaoszczędzenie mu dochodzeń...

– Słuchaj no, panie Cavish, przecież kiedy stanie pan przed sądem i tak będzie pan musiał wszystko powiedzieć. Co może panu przyjąć z tego, że... – zaczął Drummond. Przerwałem mu:

– Poruczniku, pamięta pan sprawę Salivariego i Kar Kramera?

– Pamiętam. Ale niech się pan nie odwołuje do starych dziejów, Cavish...

– Czekaj pan. Już i tak jestem dostatecznie bity. Przecież zabierzecie mi teraz te pieniądze, skoro jeżeli to prawda, że pochodzą od mordercy i że chciałem, żebym pomógł mu, chociaż Bóg mi świadkiem, w dalszym ciągu pojęcia nie mam, co mogło mu dać skupowanie tych wszystkich szkieł... Pan jest zainteresowany tym, żeby wyjaśnić to morderstwo – nie wiem nawet jakie – Drummond, tak czy nie?

– Tak.

– Otóż, damę panu słowo, że jeżeli dojdzie już do rozprawy, wyjdę z tego cało. Jestem nie tylko niewinny, ale mam dowody. Mam świadków. I mam coś więcej – powiedziałem z myślą o taśmie magneto-fonowej, na której utrwalona była moja rozmowa z doktorem Johnstonem. – Co prawda kosztowałoby mnie to sporo, bo diabli by wzięli moją reputację jako prywatnego detektywa, ponieważ zmusiłby mnie pan do wplątania i ciągnięcia po sądach mego byłego klienta, a ludzie nie zapominają takich rzeczy, tym bardziej jeśli sprawa jest głośna – a będzie głośna, bo prasa już o to zadba. Moja reputacja może pana mało obchodzić, zgoda. Ale obiecuję panu, Drummond, że obaj pojedziemy na dół i że będą się z pana tak samo śmiali jak ze mnie, bo wyjdzie pan z sądu z niczym. Efekt będzie taki, że morderca zostanie na wolności.

– Niech pan nie będzie taki pewny siebie – powiedział Drummond, ale zauważyłem, że wahał się już.

– Ale co pan w końcu ryzykuje? – powiedziałem zniecierpliwiony. Miałem już tego dość.

– Niech pana diabli wezmą, Cavish – powiedział. – Wyjdźcie stąd, chłopcy. Dobrze. Niech będzie. Ale jeśli zamierza mnie pan wodzić za nos...

– Rzeczywiście, nie mam nic lepszego do roboty – mruknąłem.

Stenograf zebrał swoje papiery i wyszedł z pozostałymi dwoma detektywami. Zostaliśmy sami.

Opowiedziałem Drummondowi całą sprawę Maystersa od początku, wyjąwszy naturalnie historię pieniędzy, które ukradłem. Słuchał uważnie. Od czasu do czasu zadawał mi pytania. Kiedy opowiedziałem mu o magnetofonie, podniósł nieznacznie brwi.

- Gdzie jest ten aparat?

- W moim biurze.

- Dobrze. Czy to wszystko?

- Tak. Ale teraz pan musi mi coś powiedzieć.

- Co?

- Kto właściwie został zamordowany? Kiedy, jak i gdzie? I jaki to ma związek z tymi szklami?

- Cavish, urodziłeś się w czepku - powiedział Drummond. - Masz pan szczęście. Przecież tę sprawę mógł prowadzić ktoś inny, ktoś, kto nie zaufałby panu. Wykazał pan niesłychaną lekkomyślność. Najpierw wpakował się pan nie wiadomo po co w tę historię Maystersa, a potem, zanim jeszcze wyszła, bierze się pan do czegoś tak śmierdzącego.

- Ależ niechże pan wreszcie wypluje, o co chodzi! - rzuciłem.

- I jak pan wszystko dobrze wie, Drummond! Ciekawym, co byś pan zrobił, siedząc w biurze jak ja, bez grosza przy duszy, bez żadnej sprawy. Czy mam żądać od moich klientów, żeby mi przynosili referencje?

- Dobra, dobra. Uspokój się pan. Sprawa jest taka: przedwczoraj po południu posterunkowy zauważył na terytorium tego starego lunaparku na bulwarze Placid kupę bezpańskich psów, które dobierały się do jednego z pawilonów. Zajrzał tam i znalazł zwłoki młodej dziewczyny. Została uduszona parą nylonowych pończoch zadzierzgniętych na szyi. W ręce miała strzępek dolarowego banknotu - z numerem. To umożliwiło nam wykrycie pochodzenia tego banknotu.

- Z tej sumy, która została podjęta z konta Maystersa?

- Tak. Poza tym znaleźliśmy na miejscu wgniecione w ziemię resztki strzaskanego szkła od okularów. Było tego niewiele, morderca musiał zauważyć, że szkło uległo zdeptaniu, zapewne podczas walki. Ciało nosi ślady uderzeń, zadrapania. No więc pozbił trochę tych okruchów szkła, ale nie wszystkie. Lekarz policyjny określił godzinę zgonu w przedziale pomiędzy dziesiątą a drugą poprzedniej nocy. To znaczy, że było wtedy ciemno. Morderca zbierał te szklane drzazgi, świecąc sobie zapalkami. Leżało tam sześć nadwęglonych zapalek. Wszystko, cośmy zebrali, daliśmy naszym specjalistom z wy-

działu technicznego. Szczętków było bardzo mało, ale w końcu udało im się zrekonstruować obie krzywizny tej soczewki.

- To była właśnie taka soczewka, jaką ten drań kazał mi kupować? - spytałem.

- Tak.

- Ale co mu na tym zależało? Nie bardzo to rozumiem.

- Nie? Zastanów się, panie Cavish. To jest bardzo rzadko kupowany rodzaj szkła. Należy do człowieka, który cierpi na nadzwyczaj silną krótkowzroczność. W dodatku szkło jest dymne. Mało, że gość ma osłabiony wzrok - musi mieć jeszcze chroniczne zapalenie spojówek. Tak przynajmniej przypuszcza nasz specjalista doktor Cunning. Takich szkieł nie sprzedaje się wiele. Wystarczyłoby przepytwać wszystkich optyków...

- Zakładając, że kupował okulary tu, w Nowym Jorku - zauważyłem.

- Prawdopodobnie kupował je właśnie tu, inaczej nie zastosowałby tego tricku z panem. Jeżeli nawet optyk nie ma jego recepty z nazwiskiem, to prawdopodobnie przypominałby sobie faceta. Bo, jak powiadam, takie szkła nosi jeden człowiek na sto tysięcy. Tymczasem pan obszedł połowę nowojorskich optyków...

- Gruba przesada. Nie zdążyłem.

- W każdym razie obszedł pan ich tyłu, że porządnie utrudni nam to pracę. Każdego będziemy pytać, czy ktoś kupował ostatnio takie szkła. Powie, że tak, że ktoś je kupował. Będziemy musieli konfrontować pana ze wszystkimi tymi optykami.

- To komplikuje wam robotę, zgoda - powiedziałem. - Ale co mu z tego przyjdzie? Dwa tygodnie wcześniej czy później na krzesło elektryczne, to nie taka aż różnica...

- Czekaj pan, nie powiedziałem wszystkiego. To szkło, to zgniecione szkło znalezione przy zamordowanej, nie było oszlifowane.

- Nie było oszlifowane? Jak to? Może on nie nosi wcale okularów?

- Może i nie nosi, pewności nie mamy. Ale przypuszczam, że raczej nosi je, a tylko kupił sobie parę zapasowych szkieł. Pan wie, jak to jest. Człowiek, który nie może kroku postąpić bez okularów, zawsze ma jakieś zapasowe szkła. Jeżeli stłuką mu się te, które nosi na co dzień, wkłada zapasowe i od razu kupuje dodatkową parę szkieł jako następną rezerwę.

- Aha, przypuszcza pan, że coś takiego stało się temu mordercy?

- Tak. Jedno z tych szkieł wypadło mu w czasie walki z kieszeni i zostało zgniecione. Nie było jeszcze wprawione w okulary, czyli że kupił je niedawno. Może zaledwie parę dni temu. To mi się wydaje najprawdopodobniejsze. W takim razie znaleźć właściwego optyka będzie teraz naprawdę ciężko. U jednych optyków kupił pan takie szkła dziś, u innych wczoraj, u jeszcze innych – przedwczoraj. Jeżeli jest jeden optyk, u którego tamten kupił szkła trzy albo cztery dni temu, to z wynalezieniem go będzie prawdziwy kłopot.

- Tak. To jakiś niegłupi facet – powiedziałem powoli. – Jeżeli wiedział, że z drobnych odprysków zgniecionego szkła policja potrafi zrekonstruować całą soczewkę, i przez to umyślnie zwrócił się do mnie z całą wymyśloną historią – to facet naprawdę ma dobrze posprzątane w głowie! Poza tym skierował na mnie podejrzenie. Tak, to było zręczne pociągnięcie, niech go diabli! Zaraz – zreflektowałem się – to jeszcze nie jest wszystko!

- Co takiego? – zainteresował się Drummond.

- Wie pan, co mi przyszło do głowy? Jeżeli on naprawdę potrzebuje tych szkieł, to wołał naturalnie nie ryzykować kupna. Musiał się przecież liczyć z tym, że powiadomicie wszystkich optyków.

- No to co z tego? Mam nadzieję, że nie dał mu pan tych szkieł? Nawiasem mówiąc, gdzie jest cała reszta? – spytał, mierząc mnie nieufnym spojrzeniem Drummond.

- Niestety – dałem mu je...

- Co!?

- Niech się pan uspokoi, poruczniku. Zrobiłem po prostu to, co mi polecił: włożyłem te szkła do koperty i wrzuciłem do skrytki pocztowej na Mayfair 617. Na pewno już je zabrał...

Drummond wstał bez słowa, podszedł do telefonu i rzucił kilka słów do słuchawki. Zajęty myślami nie słyszałem tego, co mówił.

- Wysłał pan tam kogoś? – spytałem, kiedy wrócił do mnie.

- Tak. Na pewno nic tam już nie ma, ale trzeba sprawdzić.

- Rozumie się, Drummond. Co to za dziewczyna?

- Była kelnerką w lokalu na bulwarze.

- Nie może być! Blondynka, tlenione włosy, pieprzyk na lewym policzku?

Drummond nie odpowiedział od razu. Patrzał na mnie, stojąc, dobrą chwilę.

- Tak. Cavish, pan tkwi w tym po uszy. Skąd pan ją znał?

- Rozmawiałem z nią raz. Ten lokal to taki mały letni pawilon naprzeciw lecznicy Johnstona. To ona naprowadziła mnie na panią Cormick.

- I więcej jej pan nie widział?

- Nie. Zaduszona pończochami, powiedział pan? Co to były za pończochy?

- Nowe. Nienoszone jeszcze.

- Nosila pończochy?

- Nie. Która kobieta nosi je w taki upał? Co jeszcze pan wie?

- Nic. To wszystko łączy się jakoś, ale nie wiem jak. Ten facet musiał mnie skądś znać. Jestem przekonany, że nie zatelefonował do mnie przypadkowo. Takie przypadki się nie zdarzają.

- Ja też tak myślę. Ale, Cavish, jeżeli to prawda, co pan mówił o tej radioaktywności, będę musiał wszcząć śledztwo. Żebym dziesięć razy dał panu słowo, że potraktuję to poufnie, z chwilą kiedy zachodzi podejrzenie o mord, obietnice przestają być ważne.

- Pan myśli o sprawie Maystersa, co? Obawiałem się tego. Ładny ze mnie detektyw... niech to...

- Ja też tak myślę.

- Drummond, czy pan mi wszystko powiedział?

- O tym morderstwie? Wszystko, co wiem.

- Nie podoba mi się to.

- A jakie morderstwo by się panu podobało?

- Nie, mówię serio. Zaduszona pończochami... Dlaczego pończochami?

- Może słyszał o tym, że według podbiegnięć na szyi można zmierzyć i zidentyfikować rozmiary rąk.

- Ale pończochy...? Co mówi wasz lekarz o tym człowieku na podstawie szkła...?

Drummond popatrzał na mnie bystro.

- Tak, to jest rzeczywiście - powiedział i nie dokończył. - Mówi, że człowiek, który nosi takie szkła, jest prawie ślepy. Nadzwyczaj krótkowzroczny nawet w okularach. I że przy takim stopniu krótkowzroczności jest znaczna tendencja do odklejania się siatkówki.

- Innymi słowy, że to prawie ślepiec...?

- Tak.

- To wszystko jest absolutnie bez sensu! - powiedziałem gwałtownie. - Szkło, te okruchy, któreście znaleźli, nie było oszlifowane?

- Nie.

- Widzi pan! Przecież gdyby potrzebował okularów, dałby je sobie zrobić u optyka, a nie kupowałby samych nieoszlifowanych szkieł. Co by mu z nich przyszło...?

- Myślałem o tym - przyznał Drummond. - Może chciał to zrobić, ale nie zdążył.

- Co to znaczy „nie zdążył”?! - zaatakowałem. - Nie brałby ich w ogóle ze sobą, ale zostawiłby u optyka. Nie, poruczniku, coś w tym nie gra. Wie pan, co zaczynam myśleć? Że ta soczewka jest pomalowanym śledziem, który wisi na drzewie i śpiewa...

- Chce pan powiedzieć, że zostawił je umyślnie rozdeptane?

- Tak. W ten sposób ubił jednym strzałem dwie sztuki: dał wam fałszywy trop - żebyście szukali krótkowzrocznego człowieka w okularach - i równocześnie wrobił mnie w tę historię, we wszystko. Gdybym nie znał pana z dawnych czasów, siedziałbym już teraz w małym zakratowanym pokoiku. Tego, że trafię na pana, nie mógł wiedzieć.

- Coś w tym jest... - powiedział Drummond. - Dziewczyna mieszkała w Purckdrihps. Miała garsonierę, przyjechała do Nowego Jorku przed rokiem, z Birmups, sześćset mil stąd. Nie miała tu nikogo oprócz koleżanki, która pracowała z nią, kiedy w sezonie był większy ruch. Ta koleżanka wyjechała przed tygodniem gdzieś do Palm Beach z jakimś facetem - tej Nancy Prancy nikt nie widział z żadnym mężczyzną, nikt nic nie wie. A teraz, jeżeli okaże się, że ta soczewka była umyślnie podłożona...

Nie dokończył.

- Niech pan nie zapomina, że to się łączy ze sprawą Maystersa - powiedziałem. - Świadczą o tym pieniądze. Ten, kto zamordował dziewczynę, na pewno ma dolary Maystersa.

- Mógł je dostać z drugiej ręki - zauważył Drummond.

- Nie. Musi mieć wszystkie - całych 10 000. Inaczej nie poświęciłby pięciuset dolarów, żeby mnie w to wciągnąć. Tak zachowuje się tylko ktoś, kto ma większą sumę w ręku. Ale że zostawił w jej ręce ten strzępek banknotu - oto, co mnie dziwi! Cała reszta wygląda na dokładnie zaplanowaną.

- Miała go tak zaciśnięty w garści, że odkryto go dopiero podczas sekcji - zauważył Drummond.

- Dobrze, ale w jakich okolicznościach dziewczyna, którą ktoś души, może oderwać część dolarowego banknotu? Nie umiem sobie tego wyobrazić.

{? Zamordowana miała w mieszkaniu banknot 100-dolarowy od Maystersa schowany. Krótkowzroczny ślepiec jest też zamordowanym!}

Drummond przeszedł kilka razy po pokoju.

– Może pan iść, Cavish – powiedział, stając nagle przede mną.
– Na przyszłość niech pan będzie ostrożniejszy w przyjmowaniu zleceń od swoich klientów... Co się tyczy tamtej sprawy, obawiam się, że nie będę jej mógł pogrzebać, jak by pan chciał. Jeżeli rzeczywiście wykrył pan radioaktywność...

– Może pan być innego zdania – powiedziałem – ale jestem oświadczone przekonany, że te obie sprawy się łączą i jeżeli znajdzie pan mordercę tej dziewczyny, wyświetlone zostaną także okoliczności śmierci Maystersa.

– Tak... Widzę, że pan nie chce, abym zainteresował się tą Zuzanną Washer – mruknął Drummond. – No, zobaczymy...

– Ale jedno musi pan obiecać: że da mi pan znać, jeżeli dowie się czegoś nowego...

– Widzę, że pan chce po raz wtóry zostać moim współpracownikiem – zauważył Drummond. – Ale u mnie nie pan nie zarobi Cavish.

– Nie wątpię w to.

Drummond zostawił mnie na chwilę samego. Zwrócono mi wszystko, co miałem przy sobie, wraz z kluczami samochodu, naturalnie oprócz 400 dolarów, które pochodziły z konta Maystersa, po czym opuściłem komendę. Dochodziła czwarta po południu. Zabrałem mego buicka, który stał na policyjnym parkingu, i pojechałem do Chinuanhurha.

Po obiedzie, który zjadłem u Mrupla w małej restauracji na rogu, zastanawiałem się, co mam począć. Nie chciało mi się wracać do pustego biura, do domu też nie. Drummond zabrał mi plan miasta, na którym znaczyłem postępy „operacji soczewka”, ale książkę adresową zwrócił. A gdybym tak spróbował na własną rękę znaleźć optyka, u którego kupił soczewki mój „klient”? Miałem z nim rachunek do wyrównania...

Nie wyglądało to rozsądnie. Policja pracowała całą parą i dysponując nieograniczoną nieomal ilością ludzi, mogła przepytąć wszystkich optyków w mieście co do jednego, podczas kiedy mnie zajęłoby to Bóg wie, ile czasu. Chyba żeby wpadł na jakąś myśl i trafił od razu do właściwego.

Początkowo problem wydał mi się beznadziejny. Nie miałem absolutnie żadnej wskazówki. Jeżeli szkło miało tylko stanowić fałszywy trop – sprawa była przegrana. Ale jeśli ten człowiek nosił takie okulary? Były to szkła specjalne dla krótkowzroczności niezwykle go stopnia. Ktoś obarczony takim kalectwem nie przychodzi do optyka, aby wybrał mu szkła, ale udaje się do lekarza okulisty, i to raczej do znanego okulisty. Zjrzałem do mojej książki adresowej. Okulistów wymieniała czterdziestu dziewięciu. Nie było to pocieszające. Gdybym miał obejść wszystkich... Od czego jednak był telefon? Zapłaciłem i pojechałem do biura.

Siadając przy telefonie, musiałem przewyciężyć wewnętrzny opór – nie wierzyłem w całą tę historię. Nic innego mi jednak nie pozostało; zacząłem po kolei wydzwaniać lekarzy. Przedstawiałem się za każdym razem tak samo – jako porucznik Drummond z CID-u. Mówiłem, że znalezione zostały zwłoki człowieka, który nie miał przy sobie żadnych papierów i nosił bardzo silne szkła, wymieniałem ich rodzaj i prosiłem, aby lekarz sprawdził w swych księgach, czy nie figuruje w nich pacjent, któremu zapisał takie właśnie okulary. Podawałem potem mój numer telefonu i prosiłem, aby zawiadomił mnie, jeśli coś znajdzie. Czterech lekarzy nie zastałem, ale w pozostałych przypadkach wszystko grało. Oczywiście ryzykowałem sporo, Drummond mógł wpaść na taki sam pomysł, a wówczas bardzo szybko wykryłaby się moja sprawka. Cóż jednak w końcu miałem do stracenia?

Telefony zajęły mi półtorej godziny. O siódmej z wyschniętym gardłem, spocony, z popielniczką pełną niedopałków cuchnącą niemożliwie skończyłem. Chętnie kupiłbym sobie gazetę, ale nie chciałem schodzić na dół w obawie, że któryś z lekarzy zadzwoni pod moją nieobecność, siedziałem więc i czekałem. Koło ósmej straciłem już nadzieję, że telefon się odezwie. Postanowiłem jednak czekać do dziesiątej. Robiło się z wolna coraz ciemniej. Najpierw zapłonął neon naprzeciw moich okien, potem zajaśniały lampy uliczne. Otworzyłem okna i stałem, patrząc na rozjarzone miasto. Wyglądało na to, że po dwudniowej przerwie upał znowu wraca; wieczór był w każdym razie duszny, powietrze suche, wiał znowu wiatr od pustyni, niosąc najdelikatniejszy, czerwonawy pył, który pokrywał wszystko miękkim, cienkim, czerwonawym nalotem.

Kilka minut po dziesiątej telefon zadzwonił.

Podniosłem słuchawkę. Omal nie powiedziałem: „Tu Cavish”. W ostatniej chwili ugryzłem się w język.

- Słucham?
- Tu doktor Mrazynorl. Czy porucznik Drummond?
- Przy aparacie. Słucham pana, doktorze...
- Przejrzałem moje księgi. Receptę na okulary, o jakich pan mówił, wystawiłem osiem miesięcy temu na nazwisko Carel Addams. Pacjenta tego, niestety, nie przypominam sobie. Pan rozumie, że to jest raczej niemożliwe.

- Oczywiście, doktorze... Ma pan może zanotowany adres?

- Tak. Chessfire 1191. Pacjent ten leczył się poprzednio u kogoś innego. Takie przypadki krótkowzroczności połączonej z astygmatyzmem datują się na ogół od wczesnej młodości, ale wzrok pogarsza się z upływem czasu i potrzebne są szkła coraz mocniejsze, te, które zapisałem.

Doktor głądził tak jeszcze dobrą minutę, nie słuchałem go prawie przepełniony triumfem. Byłem pierwszy u celu, przed całą armią detektywów Drummonda! Podziękowałem doktorowi z umiarkowaniem – jakby to zrobił prawdziwy, oficjalnie uprzejmy Drummond, powiesiłem słuchawkę i jałem wybierać się w drogę. Żałowałem tylko, że nie spytałem doktora o wiek tego Addamsa – ale ostatecznie było to niezbyt ważne. Fakt, iż zadusił młodą dziewczynę, świadczył o tym, że nie mógł być starcem i miał niezłą sprawność fizyczną.

Wybrałem płaski pistolet automatyczny kalibru 0,38 cala, sprawdziłem, jak chodzi spust, wprowadziłem nabój do lufy i przez jakąś chwilę rozważałem, czy mam go wpuścić do kieszeni, czy też raczej zawiesić pod pachą. Mieć go na szelkach było z pewnych względów wygodniej, ale jedyna dostatecznie luźna marynarka, jaka mogła zamaskować wystającą z lekka rękojeść, była z grubej wełny, a upał rósł – otwarte okna poruszały się lekko. Pomyślałem, że tak czy tak się spoćę i włożyłem jednak szelki z marynarką. Na ulicy panował ogromny ruch. Pustynny, gorący wiatr ciągnął jak z pieca; gwiazdy drżały i migotały mocno na czarnym jak smoła niebie. Benzyny miałem już mało, zatrzymałem się więc na rogu Placmac i zatankowałem do pełna. Zostało mi już ledwo sto osiemnaście dolarów, kiedy zapłaciłem.

Chessfire leżało na wschodnim krańcu miasta. Prowadząc, ilekroć wyjeżdżałem na otwartą przestrzeń, czułem porywy wiatru, który niewidzialnym, miękkim czołem uderzał jak taran w samochód, usiłując zepchnąć go w bok. Pachniało elektrycznością i w słonym, suchym okrutnie powietrzu unosił się drobny pył, wirując wid-

mową mgiełką pióropuszcami w reflektorach. Zatrzymałem się na samym początku Chessfire, aby nie spłoszyć mego ptaszka, i resztę drogi – jakieś trzysta kroków dzielących mnie od numeru 1191 – przeszedłem pieszo.

Ulica mimo wczesnej stosunkowo pory była prawie bezлюдna. Kto mógł, chował się w mieszkaniu przed pustynnym wiatrem. Pomyślałem, że w gazetach będzie jutro więcej niż zwykle nekrologów – ten wiatr był zmorą dla wszystkich słabych i chorych na serce.

Muszę dobrze uważać, jeśli nie mam sam znaleźć się wśród tych nekrologów, przyszła refleksja. Front kamienicy pod numerem 1191 był prawie cały ciemny, tylko na pierwszym i trzecim piętrze świeciło się w kilku oknach. W bramie było chłodniej niż na ulicy. Słyszałem, jak wiatr łopoce gdzieś blachami, z podwórza dobiegało przeraźliwe, przeciągłe trzeszczenie konarów niewidzialnego drzewa. Mdła żarówka ledwo oświetlała pierwsze stopnie schodów. Poszukałem spisu lokatorów i sprawdzwszy, że w pobliżu nie ma nikogo, oświetliłem go latarką.

Carel Addams mieszkał na trzecim piętrze pod jedenastką. Poszedłem na górę. Na drugim piętrze żarówka była przepalona. Schody, kamienne i stare, wytarte, poręcz wyślizgana od użytku – był to jeden ze starych, czynszowych domów pamiętających jeszcze lata Wielkiego Kryzysu. Na każdym piętrze było dwoje znajdujących się naprzeciw siebie drzwi do mieszkań. Dziurka od klucza w drzwiach mieszkania pod numerem dziesiątym na trzecim piętrze była oświetlona. W jedenastce natomiast panowała ciemność. Nasłuchiwałem długo, zanim zadzwoniłem. Dzwonek odezwał się wewnątrz słabo.

Czekałem, licząc do trzydziestu. Zupełna cisza. Nacisnąłem go po raz drugi, nieco dłużej. Rozbrzmiał natarczywym, brzękliwym dźwiękiem i umilkł. Na dole rozległy się kroki, wzbudzając kamienne echo klatki schodowej. Czekałem w bezruchu. Kroki zbliżały się, zatrzymały o piętro pode mną. Dał się słyszeć chrobot wkładanego do zamku klucza, jakieś drzwi otworzyły się i zatrzasnęły z hukiem.

Do drzwi przypięta była kwadratowa kartka wycięta nierówno z brystolu. CAREL ADDAMS – widniały na niej dwa drukowanymi literami wypisane wyrazy. Drzwi miały tylko jeden zamek – zatrask. Był to stosunkowo prosty zatrask. Wyjąłem pęk moich kluczy i spróbowałem najpierw zawieszoną na ich kółkach, małą, cienką sondą, czy aby klucz nie tkwi w zamku. Nie było go. To ułatwiało mi zadanie.

Wkładałem po kolei klucze, zważając, by nie robić hałasu. Piąty z rzędu poruszył rygielek, ale go nie obrócił. Przez jakąś chwilę mowotałem się z nim, aż dał się wyjąć. Następny wszedł dobrze. Zatrząsk miękko puścił. Pchnąłem drzwi wolną ręką. Otworzyły się powoli. Światło padające z klatki schodowej podkreśliło tylko atramentową czerń korytarza.

Teraz nie mogłem się już ukrywać przed właścicielem mieszkania; krótkim, momentalnym błyskiem oświetliłem przestrzeń przed sobą i niemal równocześnie przestąpiłem próg, przymknąłem za sobą drzwi i stanąłem w kącie między nimi a ścianą. W dalszym ciągu panowało głuche milczenie. Znów poświeciłem. Korytarz był pusty z wyjątkiem ściany, u której znajdował się wieszak na ubrania, a przy nim – niewielki, na pół otwarty wiklinowy kosz. Korytarz miał troje drzwi – jedno u końca, pozostałe zaś naprzeciw siebie w obu długich swych ścianach. Dociągnąłem do końca drzwi i zamknąłem je, to był nieprzyjemny moment, bo musiałem odwrócić się plecami do ciemnej głębi mieszkania, ale trwał ułamek sekundy. Drzwi dały się zamknąć niemal bezszelstnie. Teraz mogłem już zrobić światło. Odszukałem kontakt, którego lokalizację zapamiętałem z błysku oświetlenia, i przekreśliłem go. Słaba żarówka pod emaliowanym kloszem zaświeciła się u góry, światło odbiło się w szklanych drzwiach u końca korytarza. Podeszedłem najpierw do tych po mojej prawej ręce, otworzyłem je – cisza. Zajrzałem do środka. To była kuchnia. Zapaliłem światło. Na płycie elektrycznej stał rondel, z boku przykrywka, w powietrzu czuć było słabą won wyzięblej spalenizny – jakby się spaliło mięso. Zajrzałem do rondla. Mięso. Na stole kuchennym stała opróżniona do połowy flaszka mleka, na zmywaku leżały brudne talerze. Tłuszcz ściał się, ale nie zjełczał – pociągnąłem palcem po stole: prochu ani śladu. Ktoś mieszkał tu – i jadł – całkiem niedawno, zapewne dziś jeszcze. Wróciłem na korytarz i otworzyłem oszklone drzwi, jak się tego domyślałem, za nimi znajdowała się łazienka. Była pusta. Ktoś mył się niedawno – mydło było jeszcze wilgotne, spieszył się, czy też był niechlujny szczególnie, bo świeży ręcznik zawalał, cały był wymięty i pokryty plamami startego z mydlaną pianą brudu.

Pozostał mi już tylko pokój. Przeciągły, głuchy głos rozbrzmiał w całym domu, kiedy wszedłem do środka, ale to był tylko wiatr. Tu światło okazało się nadzwyczaj mocne, chyba dwustuświecowa ża-

rówka wkręcona była do lampy. Pod ścianą stało odrapane biurko, obok niej łóżko porządnie zasłane i przykryte pomarańczową kapą, naprzeciw niego stały obok siebie dwie duże szafy – panował tu natłok, mebli było stanowczo więcej, aniżeli mógł pomieścić ten niewielki, jednookienny pokój. Przy nogach łóżka stały porządnie, na baczność ustawione pantofle domowe, obok biurka stał kosz na papiery wypełniony do połowy, w popielnicze na stoliku nocnym leżało nieco niedopałków.

Podniosłem złożoną we dwoje gazetę, która leżała na fotelu. Nośiła wczorajszą datę. Zajrzałem po kolei do obu szaf – jedną wypełniały półki pełne jakichś wycinków gazetowych, fotografii, teczek i papierów, w drugiej wisiały ubrania.

Wyciągnąłem szuflady biurka. W wierzchniej leżały ciemne, rogowe okulary bez prawego szkła. Popatrzyłem przez lewe. Było silnie pomniejszające. Położyłem okulary na biurku i wyszedłem na korytarz. Zrobiłem głupstwo, zapalając światło w pokoju – jeżeli go nie było i miał przyjść z miasta, dostrzeżone w oknie światło ostrzegłoby go. Zgasilem je, wyniosłem do przedpokoju krzesło i postawiłem je przy drzwiach łazienki, żeby mieć na oku drzwi wejściowe. Kiedy siadałem na nim, coś błysnęło mi w oczy spod zmiętego szalika leżącego na wiklinowym koszu. Pochyliłem się i podniosłem rąbek szalika. Leżały pod nim okulary podobne do tych, które znalazłem w biurku. Miały oba szkła, grube, wklęsłe, podobne do soczewek, które kupowałem u optyków. To było dziwne. Szkło z tamtych okularów, to, którego w nich brakowało, musiało być tym samym, którego zgniecione szczątki znaleziono na miejscu morderstwa. Ale te tutaj? Jak mógł wyjść z mieszkania, zostawiając je na koszu? Czyżby miał trzecią parę? To było dziwne. Zamyślony, nie bardzo zdając sobie nawet sprawę z tego, co robię, podniosłem wieko wiklinowego kosza na bieliznę i zajrzałem w twarz człowieka, który w nim leżał skurczony, z kolanami wykręconymi w bok i opartymi o ściankę kosza. Prawe oko było na pół przymknięte, lewe patrzyło prosto na mnie zaciągnięte szarawą błonką kurzu. Stałem, wciąż trzymając uniesione wieko. W mieszkaniu panowała cisza, tylko na zewnątrz wiatr łomotał na blaszanym dachu i słychać było, jak poskrzypują okiennice. Musiał być niski i zasuszony za życia, z rzadkimi piaskowego koloru włosami. Ostry nos nosił po obu stronach wyraźne ślady od okularów. To był ich właściciel. W jednej chwili wszystkie fakty zawirowały mi w gło-

wie, przemieściły się i ustawiły na nowych miejscach. To, z czym nie mogłem się przedtem pogodzić – że tak krótkowzroczny, prawie ślepy człowiek był mordercą – okazało się nieprawdą. Mordercą był ktoś inny – ten, kto znał dobrze tego człowieka, może opiekował się nim i, kiedy wypadło mu szkło z okularów, kupił dla niego inne. Miał je przy sobie, kiedy spotkał się z tą dziewczyną i kiedy z nią walczył, wypadło mu z kieszeni. Spróbował zmienić ten fatalny dla siebie przypadek w korzyść – i w tym celu zaangażował mnie, żebym poplątał ślady i wprowadził możliwie wielki chaos w sprawę szkieł, potem jednak musiał się zorientować, że to jest gra na krótką metę i koniec końców policja dojdzie tego, kto jest rzeczywistym właścicielem okularów. Oczywiście ten prawdziwy ich właściciel znał go doskonale i wymieniłby go natychmiast. Nie widząc innego wyjścia, zabił go.

Wciąż unosząc wieko, które miało tendencję do zamykania się, dotknąłem zapadłej, małej twarzy człowieka w koszu. Była zimna jak lód. Spróbowałem podnieść jedną z jego skurczonych rąk, była wiotka. Stężenie pośmiertne nie nastąpiło jeszcze – a zatem zamordowany został niezbyt dawno, w każdym razie nie dawniej niż przed 24 godzinami. Przemogłem się i wsunąłem płasko rękę pod jego granatowy wytarty na rękawach surduty. Tam, przy piersi, tkwiła jeszcze odrobina ciepła. A więc nie 24 godziny temu i nawet nie dwanaście; ciało zdążyłoby ostygnąć. Musiał zginąć dzisiaj w ciągu dnia. Pochyliłem się nad nim, wstrzymując dech, i wydało mi się, że dostrzegam niewyraźne podbiegnięcia na jego wątlej szyi. Wyprostowałem się, opuściłem wieko, wszedłem do kuchni i zapaliłem światło. Teraz dopiero to, co przedstawiała, ułożyło mi się w logiczny obraz. W rondlu było mięso – do poczerniałych ścianek rondla przywarło nieco zwęglonych listków jarzyn. Gotował sobie obiad i podczas tego ktoś przyszedł. Gdy znikł, nie dokończył już gotowania. Woda wygotowała się z rondla, potem mięso spaliło się wreszcie na węgiel. Ale kto wyłączył kuchenkę? Sprawdziłem jej wyłącznik – była załączona. Zbadałem kontakt i płytkę grzejną. Kontakt był w porządku, ale płytka się przepaliła – widocznie zbyt długo znajdowała się pod prądem.

Poszedłem do pokoju. Przez chwilę stałem w ciemności, wahając się, czy mogę zapalić światło. Było nieprawdopodobne, żeby morderca miał wrócić, ale wolałem jednak nie ryzykować, ściągnąłem więc wełnianą kapę z łóżka i zasłoniłem nią starannie okno. Dopie-

ro potem przekreśliłem kontakt i spojrzałem na pokój innymi oczyma. Zamordowany mógł mieć pięćdziesiąt lat, może trochę więcej; żył więcej niż skromnie, być może z jakiejś pensji czy emerytury – usiadłem przy biurku i zacząłem przeglądać kolejno zawartość szuflad. Po jakimś kwadransie zarysowała mi się już sylwetka właściciela mieszkania.

Nazywał się Carel Addams, był emerytowanym urzędnikiem i cały swój czas poświęcał śledzeniu bieżącej historii świata; szafa z papierami pełna była gazetowych wycinków dotyczących ważnych wydarzeń politycznych, fotografii mężów stanu, ich przemówień, leżały porządnie ułożone w małych paczkach z napisami „ONZ”, „Bliski Wschód”, „Egipt”, „Afryka”, „Europa” – na dolnej półce stolika nocnego leżało kilka numerów „New Statesmana” przyściśniętych pudłem warcabów. Osobistych papierów, dokumentów było nadzwyczaj mało – książeczka oszczędnościowa, nieważne już prawo jazdy wystawione w 1919 roku, świadectwa pracy, małe pudełko po papierosach wypełnione fotografiami; przejrzałem je uważnie, przedstawiały typowe sceny z życia rodzinnego – na kilkunastu poznałem zmarłego młodszego o kilkanaście lat w towarzystwie niższej jeszcze od niego, bladej kobiety; krój ubrań i moda kobiet na fotografiach świadczyły, że pochodzą sprzed drugiej wojny światowej.

Powoli poskładałem wszystkie papiery, fotografie, poukładałem je na poprzednich miejscach i stojąc, jeszcze raz ogarnąłem wzrokiem pokój. Nic nie świadczyło w nim o gwałtownym wypadku, żadnych śladów walki, nawet pantofle stały tak poręcznie ustawione u stóp łóżka, jakby ich właściciel miał lada chwila wejść i wzuć je na nogi...

To nie może być – pomyślałem – morderstwo bez śladów jest niemożliwe...

Oczywiście najwięcej można by się zapewne dowiedzieć od sąsiadów, ale tę część śledztwa musiałem, chcąc nie chcąc, zostawić policji. W końcu tego, tak mu bliskiego człowieka, który go zamordował, musiano tu często widywać; tak więc jego rozpaczliwy czyn nie na wiele mógł mu się przydać. Mimo to zaryzykował. Dlaczego? Czy widział jeszcze jakąś szansę?

Wiatr huczał za oknami, blaszany łomot dachu zdawał się wybuchać seriami przeciągłych stęknień tuż nad moją głową, kiedy poprzez te przeciągłe, zmieszane hałasy dobiegł mnie słaby chrobot od strony przedpokoju. Ktoś wkładał klucz do zamka.

[W jednej chwili przyskoczyłem do kontaktu. Zgaszenie światła było dziełem jednej sekundy. Już w ciemności zdążyłem jeszcze uchylić drzwi od korytarza. Palilo się jeszcze w korytarzu, na szczęście wyłącznik był na ścianie tuż za drzwiami, wyciągnąłem więc rękę i przekręciłem go, w chwili kiedy zatrząsk zewnętrznych drzwi odskoczył ze słabym szczęknięciem.

Cofnąłem się do pokoju i przywarłem płasko do ściany. Przybysz nie miał latarki – usłyszałem trzask, pocierał niecierpliwie z usiłował

Czy zauważył światło przez dziurkę od klucza?]

Mogłem zgasić światło w pokoju, ale nie zdążyłem zrobić tego samego z lampą korytarza. Trzymałem jeszcze w ręku stalowy drut, którym otworzyłem przedtem zamkniętą szufladę biurka. Wtyczkowy kontakt znajdował się o krok; bez namysłu wetknąłem weń zgięty drut, powodując tym krótkie spięcie. Błękitny ogień strzelił mi pod palcami, poczułem gwałtowne uderzenie elektryczności, od którego zdrętwiały mi całkiem palce, i z głuchym pyknięciem wszystkie światła w mieszkaniu zgasły. Niemal równocześnie dał się słyszeć charakterystyczny szczęk odskakującego zatrząsku i ktoś wszedł do korytarza. O tym, że nie jest to policja, przekonałem się natychmiast, tak ostrożnie i cicho zamknąłem za sobą drzwi. Zaraz potem kilkakrotnie pstryknął przekręcony kontakt. Dobięło mnie niecierpliwie westchnienie, jakby zduszone przekleństwo, i usłyszałem trzask pocieranej zapalki.

Położenie moje nie było najszcześniejsze. Ciemność, którą musiałem spowodować, pozbawiła mnie przewagi, jaką miałbym, wchodząc do przedpokoju z bronią w ręku, ponadto zaś ledwo mogłem władać palcami, wciąż jeszcze oniemiałymi i mrowiącymi od elektrycznego uderzenia. Lewej ręce nie ważyłem się zafuć. Stałem więc nieruchomo i czekałem, co zrobi przybysz, poruszając bezustannie palcami w niecierpliwym oczekiwaniu, kiedy odzyskam w nich pełną władzę.

Przybysz orientował się doskonale po ciemku. Usłyszałem, że wchodzi do kuchni. Położyłem lewą rękę na klamce i nacisnąłem ją ostrożnie; drzwi uchyliły się na tyle, że mogłem przez nie wyjrzeć. Szukał czegoś w kuchni, świecąc sobie zapalką – widziałem tylko słaby odbłask jej płomyka na przeciwległej ścianie. Wyciągał szuflady kredensu, nie dbając o hałas, jaki tym sprawiał, nareszcie znalazł to, czego szukał

– przez kilkanaście sekund trwała cisza, potem blask bijący przez otwarte drzwi kuchenne wzmógł się. Zapalił świecę. Miałem nadzieję, że postawi ją dostatecznie daleko od siebie, tak że nie będzie jej mógł zdmuchnąć, kiedy mu przeszkodzę, ale pochylony nad krzesłem, które zostawiłem w przedpokoju, kapal na jego siedzisko stearyną, a potem postawił na nim świecę i przyciągnął je do kosza.

Zobaczyłem wówczas przez szeroką na dłoń szparę jego twarz w padającym z dołu, chwiejnym świetle płomyka. Była ciemna, obrzękła, z grubymi wargami – wydało mi się, że to Mulat. Podniósł z podłogi zawiniątko, które przyniósł i wydobył z niego pęk sznura. Potem dźwignął kosz i przerzucił sznur pod jego dnem.

Zrozumiałem: chciał zabrać ciało zamknięte w koszu. Wiklinowe pręty trzeszczały, gdy ściągał sznur. Wziąłem w lewą rękę latarkę. Musiał usłyszeć skrzypnięcie podłogi, bo puścił kosz, który opadł dnem na podłogę.

[który ciężko opadł na podłogę, i cisnął we mnie pękiem trzymanego sznura, ledwo przestąpiłem próg. Cofnąłem się odruchowo, luźny sznur, zaczepiwszy po drodze o mój bark, trafił w ścianę i ześliznął się po niej; równocześnie ten człowiek padł jak podcięty, kryjąc się za stojącym na boku koszem i na oślep, nie mierząc, wychyliwszy tylko z boku rękę]

[który ciężko opadł na podłogę bokiem; tamten cisnął we mnie pęk trzymanego sznura. Cofnąłem się odruchowo, opuszczając broń, sznur, zaczepiwszy o moje ramię, uderzył w ścianę i ześliznął się po niej, a on schował się błyskawicznie za stojącym dęba koszem i nie mierząc ani nie wychylając się, strzelił na oślep trzy razy;

poczulem gwałtowne szarpnięcie prawej ręki...]

– Nie ruszaj się – powiedziałem. Skoczył na równe nogi, ale zobaczywszy rewolwer, uspokoił się. Stał nad koszem pochylony, bez ruchu, tylko jego oczy powędrowały ku świecy, która stała na krześle, i wróciły do mnie.

– Nie zdążysz, Hartley – powiedziałem. – Będę cię nazywał Hartley, bo tak mi się przedstawiłeś przez telefon...

– Dam ci dwa tysiące, Cavish – powiedział powoli. Zaprzeczyłem głową.

- Za mało.
- Zostało mi siedem. Dam ci połowę.
- Dolary na nic – powiedziałem. – Policja ma wszystkie numery. Jesteś w kropce, Hartley.
- Pieniądze można wymienić. Dam ci sześć.
- Nie. Podnieś ręce i chodź tu. Z daleka od krzesła. Z dala od krzesła, mówię!

Kopnął je nogą. Świeca spadła na podłogę i zgasła, ale miałem w drugiej ręce latarkę i oświetliłem go w tej samej chwili. Stał o dwa kroki ode mnie, wyższy o pół głowy, przygarbiony. Nie był Mulatem. Dolną część twarzy miał spuchniętą, wargi obrzmiałe, jakby go coś pokąsało. Mówił niewyraźnie. Mógł mieć czterdzieści lat, może mniej, może trochę więcej.

- Chodź za mną.

Wszedłem tyłem do pokoju, dbając o to, żeby mieć go w kręgu światła, które rzuciła latarka. Telefon wisiał na ścianie przy nogach łóżka. Nie mogłem go jednak użyć, bo obie ręce miałem zajęte – więc bez większej nadziei, że usłucha, powiedziałem:

- Podnieś słuchawkę i nakręć policję.

Nie ruszył się ani nie odezwał. Stał po prostu, wielkie ręce zwisały mu ugięte w łokciach jak dwa niepotrzebne ciężary po obu stronach krępego tułowia.

- Pogadajmy spokojnie, Cavish – powiedział naraz. – Co ci z tego przyjdzie, że mnie wydasz...? Puść mnie, to ci powiem, jak zginął Maysters...

- To także wiesz? – powiedziałem. – No? Kto to zrobił?
- Nic za darmo, Cavish. Cavish... W jaki sposób trafiłeś tutaj?
- Całkiem prosto – zacząłem i naraz zrozumiałem, dlaczego zaczął mówić. Na pewno nie wierzył już w to, że zgodzę się go puścić, ale światło latarki, której bateria od dawna była niezmienniana, coraz wyraźniej żółkło. Najwyżej za kilka minut musiała zgasnąć.

- Porozmawiamy o tym później – powiedziałem. – Połóż broń na stole.

- Nie mam żadnej broni – odparł z bezczelnym uśmieszkiem, który wykrzywił jego grube na palec wargi. Cofnąłem się do biurka. Sytuacja moja była coraz idiotyczniejsza. Nie mogłem nawet pójść po świecę, bo żeby ją zapalić, potrzebowałem dwu rąk – nie mówiąc o tym, że musiałbym odłożyć latarkę, a mogłem być pewny, że jeśli zostawię go na sekundę w ciemności, gorzko tego pożałuję.

- Zdejmij marynarkę – powiedziałem.
Znów nie odpowiedział ani nie ruszył się z miejsca.
- Nie zmuszaj, abym strzelił, Hartley. Rosła we mnie pasja. – To będzie bolało...
- Dlaczego masz strzelać? – spytał. – Przecież poddałem się, nie? Myślisz, że z człowieka w moim położeniu można bezkarnie zrobić sito? Spróbuj tylko, a zobaczysz, że będziemy siedzieli razem...
- Rusz się – powiedziałem. – Idziemy stąd. No! Ruszaj!
Stał na rozstawionych nogach jak wrośnięty w ziemię.
- Liczę do trzech – powiedziałem. – Raz, dwa...

[Zrobił jeden krok, drugi – wszedł do przedpokoju w okrągłym snopie coraz szybciej żółknącego światła, z olbrzymim cieniem, który skakał po ścianach i falował na suficie. Naraz potknął się i upadł. Opuściłem latarzkę – wpółleżał na podłodze, trzymając się za nogę.

- Och... kostka... skręciłem sobie kostkę – stękał.
- Dostyć tej komedii – powiedziałem. – Wstań. Idziemy.
- Och... nie mogę się ruszyć...
Stałem tuż przy nim. Wil się na podłodze.]*

- dwa – stał na rozstawionych nogach jak wrośnięty w ziemię.
- Nie? – powiedziałem. – Dobrze.
Zacząłem obchodzić go z wolna, aż znalazłem się przy drzwiach. Klucz tkwił od strony korytarza, to było mi na rękę.
- Chodź za mną – powiedziałem, aby go zmylić – przestąpiłem tyłem próg, zatrzasnąłem łokciem drzwi, wpuściłem latarzkę do kieszeni i przekręciłem dwa razy klucz w zamku. Niemal natychmiast odskoczyłem w bok – i w samą porę, bo w pokoju huknęło trzy razy, strzały padły tak szybko po sobie, że zlały się w jedno.
Przeciwniegiła ściana zadymiła wapnem, a drzwi plunęły drzazgami. Strzeliłem tylko raz, na wysokość nóg. Nie wierzyłem, że go trafię, ale chciałem go trochę uspokoić. W pokoju zapadła cisza. Wiatr łomotał bezustannie na dachu i niewiele było szans, że któryś z mieszkańców domu zwróci uwagę na strzały. Wymacałem telefon i nakręciłem lewą ręką numer. Szło mi to niesporo, ale wołałem nie wypuszczać z prawej rewolweru.
- Z poręcznikiem Drummondem, szybko – powiedziałem, kiedy zgłosiła się centrala. Po sekundzie usłyszałem jego głos.

- Tu Cavish - powiedziałem. Jestem na Chessfire 1191. Mam naszego człowieka. Jest zamknięty w pokoju, ale ma rewolwer. Niech się pan spieszy, Drummond, bo korki są przepalone i może mi wypłatać jakąś sztuczkę.

- Zaraz będę - usłyszałem jego głos i słuchawka dźwięknęła. Miałem jakieś dziesięć minut czasu, może trochę mniej. Zawahałem się, czy nie zreperować bezpiecznika, ale zdecydowałem, że lepiej nie próbować. Oświetliłem z boku drzwi. Latarka dawała już bardzo słabe światło. Wiatr hałasował przeraźliwie - z pokoju nie dochodził najśłabszy odgłos. Zastanawiałem się, jaką ma szansę, żeby uciec. Pokój był na trzecim, najwyższym piętrze, ale kamienica była stara i mogła mieć masę gzymsów - wolałem jednak nie pakować się do pokoju. Nie jestem aż takim bohaterem i nie uśmiechała mi się strzelanina po ciemku. Miałem sporo do stracenia, on za to bardzo niewiele, skoro w perspektywie oczekiwało go krzesło elektryczne. Cisza w pokoju zaczęła mnie niepokoić. Na półce wieszaka leżały stare gazety. Zmiałem jedną w kulę, przesunąłem kosz, tak że stał naprzeciw drzwi, zapaliłem zmięty papier, otworzyłem drzwi z klucza, wrzuciłem do środka płonący papier i natychmiast schowałem się za koszem. Papier przeleciał ze trzy metry, upadł na podłogę i po chwili zajął się od spodu płomieniem. W migotliwym świetle ukazało się otwarte okno ze zwisającą, zaczepioną o klamkę wełnianą kapą, którą je przedtem zasloniłem. Pokój był pusty.

[Usłyszałem rosnące wycie syreny - nadjeżdżał wóz policyjny. Wbiegłem do pokoju. Kiedy wychyliłem się z okna, strzelił do mnie z tyłu. Musiał schować się pod łóżkiem. Jakby rozżarzony drut dotknął mojej twarzy. Padłem na podłogę pod oknem, bo na jego tle stanowiłem doskonały cel, i zacząłem szybko strzelać w tę stronę ciemności, z której dobiegł mnie niewyraźny odgłos. Poprzez huk wystrzałów usłyszałem, jak zaklął. Strzelałem, aż cyngiel zaczął poruszać się jałowo - magazynek był pusty.]

Kiedy do niego wszedłem, usłyszałem rosnące wycie syreny policyjnej.

X

Porucznik Drummond nie był mną zachwycony. Już to trudno dogodzić policjantowi.

- Trzeba go było postrzelić - mruknął, dusząc gniewnym ruchem papierosa. Siedzieliśmy w pokoju Addamsa, podczas kiedy w korytarzu panowała pospieszna krzątanina. Co chwila błyskał flesz fotografa, po pokoju laził na czworakach daktylograf, fukając na wszystkie przedmioty swoim jasnym proszkiem.

- Tak - powiedziałem - a potem wylazłoby z tego nadużycie, jego adwokat zrobiłby ze mnie ludożercę. Ciekawym, co by pan zrobił na moim miejscu. Którędy on uciekł? Dachem?

- Prawdopodobnie - odpowiedział Drummond. - Do rynny miał zbyt daleko, chyba że to linoskoczek. Widział go pan już kiedyś?

- Nigdy w życiu. Ale on mnie widział. Znał mnie.

- Skąd pan wie?

- Bo wiedział, kim jestem. Ciekawe skąd! Na pewno go nie widziałem, takiej twarzy się nie zapomina.

- W każdym razie prawie go już mamy - pocieszył się Drummond.

- Hej, sierżancie - zwrócił się do detektywa, który wszedł właśnie - nadaliście już?

- Tak, panie poruczniku, do wszystkich placówek i wozów dokładny rysopis według tego, co zeznał Cavish.

- Z ostrzeżeniem, co?

- Tak. Odbiór jest okropny, ale wszyscy już to mają.

- Przy wietrze z pustyni zawsze jest taki.

Zwłoki wyniesiono już. Fotograf i specjaliści od odcisków opuścili mieszkanie, zostaliśmy we trzech z sierżantem Holbrynkiem i Drummondem.

- Wciąż mam wrażenie, że pan więcej wie, niż mówi, Cavish - zauważył niby mimochodem porucznik. - Skąd pan na przykład wpadł na to, żeby telefonować do kliniki Johnstona?

- Pojęcia nie mam - wyznałem. - Po prostu, ponieważ cała ta sprawa była w moim nieszczęsnym mózgu przywiązana do tamtej - i może jeszcze przez te dolary Maystersa - pomyślałem o klinice, tym bardziej że kiedy tam byłem, widziałem na jednych drzwiach tabliczkę okulisty.

- Klucze do wszystkiego tkwią tam - powiedział Drummond.

- Tylko tam. Porozmawiam sobie z tym Johnstonem.

- To solidny gość - zauważył sierżant.

- Wiem o tym. I nie przypuszczam, żeby sam maczał w tym palce. Wielu tam jest lekarzy i pielęgniarek, Cavish?

- Dokładnie nie wiem. Lekarzy pięciu czy sześciu. Oceniam tylko na oko wedle rozmiarów lecznicy, a pielęgniarek bywa zwykle ze trzy albo i cztery razy tyle co lekarzy.

- Zna pan ich?

- Z lekarzy tylko Johnstona. Poza tym znam dwie pielęgniarki, te, które pełniły dyżury przy Maystersie.

- Sierżancie, pieczętujemy cały kram i wracamy do domu - powiedział Drummond, wstając. - Czy się to panu jakoś rysuje, Cavish? - zwrócił się do mnie, podczas kiedy sierżant zajął się pieczętancją.

- Hartley ukradł te pieniądze - powiedziałem. - Nazywam go tak, bo tak mi się przedstawił. Sam się do tego przyznał. Powiedział, że zostało mu jeszcze siedem tysięcy.

- W jaki sposób mógł wejść w posiadanie tego czeku?

- Tylko z drugiej ręki - odparłem. - Musiał go wynieść z kliniki ktoś, komu Maysters zaufał. Od tej osoby dostał czek. Naturalnie pośredników mogło być teoretycznie więcej.

- Co jeszcze pan wie?

- Zastanawia mnie teraz, czy nie mogą to być dwie oddzielne sprawy - powiedziałem. - Jedna - zabójstwo Maystersa dokonane za pomocą izotopów truczny radioaktywnej. I druga - złożo-

na z trzech części: akt pierwszy to kradzież pieniędzy przez podjęcie ich czekiem z kont Maystersa, drugi – zabójstwo dziewczyny i trzeci – zabicie tego starego Addamsa.

[w tym miejscu urywa się maszynopis „Sknoczonego kryminalu”]

Przygotował do druku TOMASZ LEM